WYMARZONY KOCHANEK

przez

TADEUSZA STRZEMIEŃCA.

WILNO

Nakład i druk T. Glücksberga Księgarza
i Typografa Białorus. Naukowego Okr.

1848.

WYMARZONY KOCHANEK.

WYMARZONY KOCHANEK

przez

TADEUSZA STRZEMIEŃCA.

WILNO
Nakład i druk T. Glücksberga Księgarza
i Typografa Białorus. Naukowego Okr.

1848.

Pozwolono drukować pod warunkiem złożenia po wydrukowaniu exemplarzy prawem przepisanych w Komitecie Cenzury. Wilno 1846 roku 14 Maja.

Cenzor *Jan Waszkiewicz.*

DO CZYTELNIKA.

Znużony jesteś zapewne, kochany czytelniku, bezsennością pracując nad filozofją, nad historją, nad prawem; albo zagłębiając się w teorjach, dociekaniem sposobów dążących do udoskonalenia przemysłu krajowego, rozszerzenia handlu; do pomnożenia fabryk, rękodzielni, wywyższenia rolnictwa, ulżenia stanowi biednych kmiotków; męczysz się, biedzisz i spać nie możesz: otoż ja, któremu Najwyższe wyroki da-

ły przeznaczenie nieść ulgę cierpiącym i usypiać bezsennych, spieszę z powieścią żeby cię wyrwać z tego okropnego położenia. Przeczytaj ją. Króciutenka. Zaśniesz nim skończysz.

Powiastka moja niema pretensji do tego, żeby zasługiwała na imie s k o ń c z o n e g o o b r a z u, bo na to, podług mnie, szkoda czasu i atłasu. Napisałem ją tylko dla rozerwania się będąc w zupełnie przeciwném położeniu jak ty, kochany czytelniku. Czytając ciężkie filozoficzne i głęboko uczone dzieła, zdrzymałem się a dla odpędzenia snu kóren mię zawsze w takich razach napada, umyśliłem tworzyć powieść dla kołysania ciebie. Jeżeli kto do tego stopnia jest już osłabionym, że go nietylko dwie drachmy opium ale i ta powieść uśpić nie będzie w stanie a doczyta ją do końca, niech mię nie posądza ażeby charaktery, odmalowane w niéj,

były wzięte z osób rzeczywiście istniejących; żeby to były czyjekolwiek portrety. Proszę mię nie obrażać. Najlżejsze podejrzenie w tym względzie byłoby dla mnie największą obelgą. To mówię nie żartem. Nie żartem też zaręczam, że portretów tu niema a jeśli kto przypadkiem ujrzy siebie w tém lusterku, nie moja w tém wina. Ani też jeśli jakie zdarzenia są mniéj więcéj podobne do opowiadanych przezemnie wypadków. Niektóre osoby téj powiastki rzadko wychodzą na scenę chociaż dość ważne grają role. Gdybym inaczéj zrobił musiałbym albo powiększyć ramy albo włożyć w usta tych osób komplimenta, które bardzo dobrze i oddawna każdemu są znane. Ani jedno ani drugie nie było moim celem. Jeżeli mi kto zechce zrobić jaki zarzut co do formy, stylu, trywjalnych lub niepolskich wyrażeń, niech pierwéj pozwoli uprzedzić siebie, że użyłem ich umyślnie.

Miałem zamiar, dać mojéj powiastce tytuł: Kto o Bogu nie zapomina, tego i Bóg nie opuści; ale dwie przyczyny odciągnęły mię od tego. Naprzód, jedni nazwaliby mię bigotem, drudzy bezbożnikiem; nie chciałem więc zostawać w takiéj niepewności o sobie. Powtóre, książka z takim oklepanym tytułem nie wieleby nęciła czytelników. Zacóż ma tracić Księgarz? Wolałem zatém zostawić jéj imię jakie sama sobie przyniosła. Może więcéj będzie popłatne a i dziełko na tém zyska. Bądź zdrów kochany czytelniku a o mnie dobrze myśl.

Pisałem w Protówce, w dzień
ś. Andrzeja 1845 r.

Das Allererhabenste in einem Mädchen ist seine stille Liebe, womit es wie das Licht die ganze Schöpfung durchreicht. Das Herz eines Mädchens muss seyn wie das dunkle Heiligthum eines Göttertempels wo die Bildsäule des Gottes in verborgener, heiliger Stille, wie das Palladium Roms im dunkeln, innern Heiligthum ruhte, ungesehen nur geahnt.

Das Testament von Aug: Lafontain.

W jednym domku, przy ogrodzie, nad strumykiem mieszkała Aniela. Każden się łatwo domyśli, że ten domek był miły, biały, ocieniony rozłożystemi drzewami; że ogród był zamieciony, usypany piaskiem, ubarwiony kwiatami a kwiaty rozlewały w około czarującą

woń i nęciły pszczoły z przyległéj pasieki; że strumyczek szemrał jakieś tajemnicze słowa, któremi matka-natura do śmiertelnika przemawia. Nakoniec, że Aniela mieszkająca w tym domku, przy tym ogrodzie i nad tym strumykiem była bardzo piękna, piękna i dobra jak anioł dla samego imienia. Mieszkała w roskoszném miejscu, bo jakżeby mogła mieszkać inaczéj?... Powiedziałbym co o kruczych warkoczach, niebieskiém oku, łabędziéj szyi, alabastrowéj twarzy, koralowych ustach i perłowych ząbkach. Ale na nieszczęście Aniela tego wszystkiego nie miała. Kolor jéj włosów podobny był więcéj do piór przepiórki jak kruka; oczy miała piwne, ale jak utrzymywali ci co znają się na poezji, było w nich wiele poezji; szyjka nie łabędzia jednak zgrabna, twarz śniada zatém oryginalna, usta blade, bo jak się dowiecie poźniéj paliła

ją nieustanna gorączka; zębów niewidziałem bo nigdy się nie śmiała. Trzeba jéj oddać sprawiedliwość że była piękna; nie dla tego że Aniela, ale rzeczywiście piękna.

Aniela miała Rodziców: pana Prezesa i panią Prezesowę. Powiedziałem że Aniela miała Rodziców; bo jeżeli *jéj* Rodzice mogli mieć córkę, dla czegoż *ich* córka nie mogła mieć Rodziców? Niech więc Państwo Prezesostwo nie gniewają się, że piérwéj mówię o *ich* córce a potém o *jéj* Rodzicach. Zaraz powiém i o nich.

Pan Prezes był to człowiek jakich mało. Zażywał tabakę ze srébrnéj tabakierki, a nigdy inną tylko francuzką, a nigdy inaczéj tylko nad tabakierką bo Pan Prezes żył z kalkulacją; palił fajkę z długiego cybucha z piórkiem: zrana po kawie, wieczór po herbacie i do łóżka na noc. Trzy razy na dzień ani mniéj

ani więcéj. Wstawał o piątéj, jadł o dwunastéj, kładł się spać o dziewiątéj. Nikt regularniejszego życia nie prowadził, od Prezesa. Jak tylko wstał miał zwyczaj zaraz pójść do stajni, obejrzeć czy konie poczyszczone i nakarmione; stamtąd szedł na tok albo jechał w pole wozeczkiem na ressorach, ale nie jeździł i nie chodził co dnia, więc zawsze zjawiał się *znienacka*. Wróciwszy rozprawiał z Panią Prezesową o gospodarstwie, z Panną Prezesówną o muzyce; po obiedzie lubił sypiać, a nim się położył czytał dla rozrywki Tomdżona, Podróż do Ciemnogrodu, Pana Podstolego, albo co z porządku następowało na półkach na których, podług wysokości i otyłości tomów, ułożone były pięknie oprawne książki odziedziczone po nieboszczyku ojcu. Wieczór przepędzał jak Bóg dał: to z gośćmi rozmawiając o pogodzie, o posiewach, o wydatku zboża, o cenie

produktów; to z ekonomem, dając mu różne *dyspozycje* i zaczynając rozmowę zawsze od słów: „cóż tam słychać?“ na co mu ekonom zawsze odpowiadał „źle.“ Czasami zagłębiał się w polityce, brał gazetę, mrugał brwiami, uśmiechał się, wzdychał, kiwał głową, potém wywracał świat do góry nogami, tych godził, tamtych waśnił, tym wypowiadał wojnę, z tamtymi pisał traktaty, tych z tronu zrzucał, tamtych na tron wsadzał a w końcu dodawał: „ja dawno mówiłem że tak będzie.“ Trzeba tu jeszcze dodać że Pan Prezes był człowiek rozsądny. Szanowali go sąsiedzi, bali się żydzi, wodziła za nos żona i okradali słudzy. A kto się spyta o genealogję, powiem mu tylko tyle że jego przodkowie, zacząwszy od pra-pra-pra-pra..... dziada byli zacni i uczciwi ludzie, a Pan Prezes przeszedłszy parwę, infimę, gramatykę i retorykę u Pijarów, dostaw-

szy na drogę dukat święcony i błogosławieństwo ojcowskie wstąpił do palestry i przy pomocy boskiéj dorobiwszy się znacznego majątku *osiadł* w pięknym domku otoczonym rozłożystemi drzewami i szemrzącym strumykiem, i *siadł* na wysokiém krześle z poręczami obitém amarantowym aksamitem i złotemi galonami. Przytém był tłusty, łysy, wyższy od nieboszczyka ojca, niższy od nieboszczyka dziada.

Pani Prezesowa była córka kasztelana, synowica arcybiskupa, siostrzenica referendarza, wnuczka kanclerza, prawnuczka hetmana polnego, praprawnuczka hetmana koronnego a daléj nie pamiętam. Zażywała tabakę ze złotéj tabakierki i resztę wysypywała na ziemię; modliła się cztéry razy na dzień i najlepiéj lubiła książkę pod tytułem: *Ziarno gorczyczne* i t. d. Wstawała o dziewiątéj, o pół do dziesiątéj głaskała

córkę pod brodę mówiąc: „*bon jour* A-nielciu“; do południa, jako rządna gospodyni, szwendała się w kuchni, spiżarni, w lochu, w ogrodzie; nie łajała nikogo nie dodawszy: *serce moje*; po południu robiła bez gości pończochę a przy gościach siateczkę; wieczorem śpiewała przy gitarze dumę o Ludgardzie albo grała uwerturę z opery *dwóch ślepców*; czasem pomimo swéj otyłości leciała na skrzydłach wyobraźni, w błogą krainę przeszłości, do świetnych chwil młodzieńczych przepędzonych w Warszawie *pod blachą* i wtedy o pół łokcia podnosiła się wyżéj i o ćwierć tonu mówiła głośniéj. W kościele parafjalnym miała osobną ławeczkę pod klucz zamykaną, na bałach siadała na piérwszém miejscu, piérwsza zaczynała poloneza, powtarzała często: „jak mój mąż zechce“, córkę nazywała: *ma mignonne* a męża: *kochanku*; umiała kilkanaście

stopni dygów, podług zasług i znaczenia każdego; miała dwa pieski, kotkę i wiewiórkę które bardzo kochała, i stryjeczną siostrę Pannę Agatę którą kochała więcéj jak pieski, kotkę i wiewiórkę.

Ponieważ wspomniałem o Pannie Agacie, nie mogę przenieść żebym nie dodał że Panna Agata, była to prawa ręka jejmości, obydwie jegomości, dusza całego domu, kronika chodząca, gazeta najnowsza i t. d. Złożona była z długich a cienkich kości powleczonych przezroczystą skórą szafranowego koloru, podparta wysokiemi nogami osadzonemi bezpiecznie na potężnych stopach, uzbrojona podwójnym rzędem zębów proporcjonalnych kościom i podchodzących pod kolor skóry, ozdobiona bogato kamer;zowanym nosem idącym ciągle z wierzchnią wargą na wyprzódki i przykryta na ciemieniu symetrycznie rosnącemi włosami, któreby w razie nie-

dostatku mogły służyć za kwinty do skrzypców a przynajmniéj za taśmę do smyczka. Mówiła chrypliwie i wiele, całowała często i wszystkich; przytém była wesolutka, żywa, dowcipna i miała dwa razy prawie tyle lat ile ich mieć sobie życzyła.

Co do samego domu powiedziałem wam że był miły i biały a we środku jak wszędzie były stoły, komody, krzesła, sofy, a sofy i z elastycznemi materacami i bez materaców, i z lwiémi złoconémi łapami i na toczonych nóżkach, i mahoniowe i dębowe pokostowane, bo dom Państwa Prezesostwa łączył w sobie staropolską wiejską prostotę zeszłego wieku z elegancją wytworną naszych czasów, a zdarzenie które wam opowiedzieć myślę stało się niedawno, bardzo niedawno, w tysiąc ośmset..... mniejsza o rok, dosyć że w połowie XIX wieku.

Aniela była bogata jedynaczka. Sąsiedzi liczyli jéj w posagu dodając do liczby 2 i 3 po pięć zer, 00000; dalsi pięć zer dodawali do 4 i 5; jeszcze dalsi do 6 i 8 a byli i tacy co mniéj biegli w Arytmetyce, wiedząc jednak że zero ani mnoży ani dzieli, zmniejszali liczbę jedności ale za to dodawali zero i do liczby 1 dopisywali sześć zer 000000.

Nic więc dziwnego, że Aniela miała mnóstwo *starających się Kawalerów.*

Ale serce Anieli było jeszcze próżniuteńkie. Odebrawszy wychowanie, które podnosi umysł do sfery nadpowietrznéj nadetherycznéj i jeszcze wyżéj, rozżarza wyobraźnię aż do oglądania aniołów zewnątrz i wewnątrz, uszlachetnia duszę aż do gotowości poświęcenia całéj wieczności, a gdyby było co większego, i więcéj jeszcze od wieczności, za jedną chwilę, minutę,

sekundę prawdziwego idealnego szczęścia, Aniela nawet końcami paluszków swojéj pięknéj nóżki, nie dotykała się ziemi. Czytała wiele i żadne słowo uczuciowe, żadna myśl wielka, żaden postępek bohatérski nieuszły jéj uwagi. I chciała być wyższą od najwyższych, chciała być sławną choćby po skończeniu świata, albo przez nieszczęście, wielką choćby tylko pod piórem poety. Z natury, skłonna do dobrego, cnotliwa, z sercem czułém, tkliwém błądziła w tym labiryncie myśli i nie znalazła oporu gdzieby polot wyobraźni swojéj wstrzymała, nie znalazła miejsca gdzieby odpocząć mogła, ani przedmiotu, któremby jéj nieskończone życzenia zaspokoić był w stanie. Naprzemian Beatrice Dantego, Bradamanta, Isabella-Ariosta, Herminia, Clorinda Tassa, Heloisa-Pope, Julja, Desdemona-Shackespeara, Aldona-Mic-

kiewicza, ba nawet Laura Petrarki, były jéj ideały. To znowu chciałaby być Cielją Johanną d' Arc, albo i Kleopatrą. Tęskno jéj było, duszno, ciasno. Były to moralne suchoty.

Nakoniec, kiedy przebrzmiała sława, wylatał się umysł, przepaliła się wyobraźnia, z kolei zaczęło grać swoją rolę serce Anieli. Nieznane jakieś uczucie, jak gość nieproszony, wkradło się do jéj łona i z całą siłą uderzyło we wszystkie stróny jéj serca.

Z trzydziestu wieków, bohatérowie, zacząwszy od wielkich mężów Troi, sławionych przez Homera, aż do wesołych gachów Paryża, opiewanych przez Paul de Kocka, stanęli w oczach Anieli.

Pierwéj zajęta więcéj sobą, nie zwracała szczególnéj uwagi na tych ichmościów, mając osóbno z każdym do czynienia; ale teraz, kiedy już (prze-

praszam że się wyrażam filozoficznie bo mi słów nie staje) kiedy już przeszła za granice swojego *ja* i nie poprzestając na zajęciu się *podmiotem* szukała *przed-miotu*, razem ujrzała wszystkich. Z razu się przelękła; ale ochłonąwszy nieco i przetarłszy oczy, przypatrzyła się każdemu zbliska, porównała ich wszystkich, pozbierała od każdego po trochę różnych przymiotów, dodała co potrzeba, odrzuciła co niepotrzebne i takim sposobem utworzyła sobie jednego *męża wielkiego na ziemi*. Potém pożegnała resztę, a tego zaprosiła do siebie. *On* też najbezpieczniéj rozgościł się w sercu Anieli. Aniela kochała.

Kochała z całą siłą namiętnych uczuć młodéj, niewinnej dziewczyny, z całą czułością pieszczonego dziecka, z całém poświęceniem się exaltowanéj kobiéty, kochała *jego*. *On* był większy

od najwiekszych, mężniejszy od najmężniejszych, rozumniejszy od wyrozumniejszych, czulszy od najczulszych łepszy od najlepszych, piękniejszy od najpiękniejszych.

Aniela, rozmawiała z *nim* wyznając *mu* skromnie swoją miłość bez granic, bez końca; przysięgała *mu* wierność; pytała *go* czy *on* ją prawdziwie kocha, czy się dla niéj nie zmieni? wymawiała *mu* opóźnienie się, dawała *mu* poznać lekkie niedowierzanie, nieufność; przepraszała *go*; padała przed *nim* na kolana, ściskała ze drżeniem *jego* rękę, z bojaźnią kładła głowę na *jego* ramieniu, całowała *go* w usta, płakała, uciekała, gniewała się, przebaczała, czasem śpiewała *jemu* i grała; potém słuchała z rozrzewnieniem, ze czcią, *jego* dźwięcznego głosu, *jego* pełnéj mądrości mowy i była szczęśliwą.

Ale *starający się kawalerowie* nie wiedzieli że mieli tak niebezpiecznego rywala i na wyścigi dobijali się o rękę Panny Anieli, która, suchemi grzecznościami, zbywała wszystkich, nierobiąc żadnemu nadziei i nieodstręczając nikogo. Zjeżdżali się więc to razem wszyscy, to pojedyńczo każden, albo nic nie wiedząc jeden o drugim albo karmiąc się niemą nadzieją przyszłego tryumfu.

Nie wiedzieli biedacy że mogą umrzeć z głodu, jeśli będą żyć tak niesytną potrawą.

Piérwszym był Hrabia Arnold Mężnicki, z strasznie starożytnej familji, bo podobno wprostéj linji od Piasta pochodził. Ale jako człowiek bez przesądu i dobrze wychowany, tém się nie szczycił, bo często zwykł powtarzać, że jego protoplastą był prosty kołodziéj. Złośliwi ludzie mówili iż kilka lat te-

mu kupil sobie w Berlinie czy w Wiedniu, za parę tysięcy reńskich tytuł hrabiego, ale to nie prawda. Pan Mężnicki był prawdziwym i dawnym hrabią; to można było poznać z piérwszego rzutu oka. Sam nie miał prawie majątku, ale miał bogatego stryja, po którym, lada dzień, spodziewał się sukcessji; przytém nadzwyczaj szczęśliwie grał w karty. Był średnio-proporcionalny między wesołym trzpiotem, a poważnym sensatem. Sprowadzał suknie z Paryża, bieliznę ze Stuttgardtu, bóty z Londynu, a perfumy z Florencji. Nosił kosztowne pierścienie na wszystkich palcach, dwa łańcuszki złote od zegarka, jeden z włosów od lornetki; ciągle dłubał w zębach i często cierpiał migrenę i katar. Protegowała go Pani Prezesowa.

Drugi Pan Mateusz Kapuściński, rudy, chudy, ospowaty, nieźmiernie

ugrzeczniony; ze wszystkimi się zgadzał, na wszystko przystawał, nizko się kłaniał, ciagle mówił o Bogu, o sumieniu, o uczciwości; szanował wiek i urzędy, śmiał się kiedy się inni śmieli, płakał kiedy inni płakali, krzyczał kiedy wszyscy krzyczeli, milczał kiedy milczeli, pił herbatę bez cukru, nie jadał konfitur; nie palił fajki, nie zażywał tabaki, nie lubił fraka, chodził najczęściéj w długim granatowym surducie i miał znaczny majątek. Nigdy nie mówił o przodkach, rzadko o naukach, często o monecie. Czternaście razy w rok wyjeżdżał z domu: raz do Dubna na kontrakty, raz do Halperinna w Berdyczowie i dwanaście razy do Panny Prezesównéj. Protegował go Pan Prezes.

Trzeci Pan Bonawentura Farfadowski przybyły z *daleka*. Bawił w tych stronach dla jakiegoś ważnego proces-

su, miał w każdéj prawie gubernji po kilka folwarków, które wypuszczał w dzierżawę, ale stałego mieszkania nie miał. Był cienki, suchy, wysoki; nosił włosy à la diable m' emporte, chodził prędko, nie posiedział długo na jedném miejscu, uchodził za bardzo dowcipnego, i zawsze miał w kieszeni karteczkę, na któréj spisane były koncepta i facecje wyjęte z książki albo u kogo pożyczone; odczytywał je przed każdą wizytą. Gwizdał doskonale; grał na czakanie; śpiéwał nieźle różnemi językami; ale sam sobie nie akompaniował. Umiał mnóstwo sztuk z kart, wystrzygał sylwetki, haftował na kanwie, ze wszystkimi był serdeczny i do każdego mówił: *ty*. Z szyderskiém politowaniem patrzał na smutnych i nikt go nigdy w złym humorze nie widział. Protegowała go Panna Agata.

Czwarty był to Kandydat z Dorpatskiego Uniwersytetu, maleńki, blady, nędzny, z długiémi czarnémi włosami, śpiczastą brodką, w złotych okularach, dosyć bogatych rodziców, ale miał jedenaścioro rodzeństwa. Pan Euzebjusz Wruczniewski ubierał się zawsze czarno; mówił pomału i sentymentalnie; nikogo nie ogadywał; ganił i chwalił z umiarkowaniem; deklamował z zapałem, choć go nie wszyscy rozumieli, Iljadę Homera, Ody Horacjusza, Dantego, Goethego, Schillera, Byrona, Lamartine'a, Zaleskiego i innych. Na palcach umiałchronologję, pisał dramata i sonety, pił często wodę z cukrem; nie mógł słuchać burżliwéj muzyki i bał się psów. Z Panem Prezesem rozprawiał o Agronomji ż panią Prezesową o historji naturalnéj: o kaczkach, kurach i indykach, z Panną Prezesówną o sztukach pięk-

nych, z Panną Agatą o Theologji. Szanował go Pan Prezes, cierpiała Pani Prezesowa, lubiła Panna Aniela, poważała Panna Agata.

Piąty Jacek Szumiłło, sążnisty drągal, z ogromnemi wąsami, łbem krótko ostrzyżonym; chrząkał głośno, kichał jeszcze głośniéj, śmiał się aż w uszach dzwoniło; sypał diabłami za każdém słowem, całował kobiet w rękę nie schylając się a często, nosił jasno-zieloną czamarkę suto szamerowaną i własnego pomysłu; siedział na koniu jak przykuty, wskakiwał na kark wilkom, dzielnie strzełał bekasy; odbył kilkanaście pojedynków, w których mniéj krwi a więcéj wina przelał; i naznaczony był głęboką kresą na czole. Nie miał żadnego protektora.

Był jeszcze szósty, siódmy i ósmy ale ci mniéj ważni i więcéj liczyli na jakie nadzwyczajne szczęście, które i

biednego wieśniaka na Pana wynosi, niż na osobiste zasługi.

Biedna Aniela, otoczona takimi *konkurentami*, prawdziwie była litości godną. Musiała, mniéj więcéj przez samą gościnność nastrajać się do każdego z osobna. Wreszcie nie zaprzeczy żadna z kochanych.... przepraszam za ten wyraz, pomyliłem się, z szanownych czytelniczek, że każda Panna boi się jak grzechu śmiertelnego nie podobać się komukolwiek, chociażby nawet temu którego nienawidzi, któregoby rada w łyżce wody utopić. Więc Aniela nie spuszczając z oka swego *wymarzonego kochanka* była uprzejmą, grzeczną, ujmującą z każdym.

Nieraz, z głębi duszy, słyszała głos jakby echo głosu zażalonego kochanka, że to jest *profanacja* wzniosłych uczuć, że poświęcenie miłości własnéj dla *niego* byłoby bardzo małą ofiarą z jéj stro-

ny. Ale w tém, spójrzała w lustro stojące w kącie, postrzegła swoją figurkę z takim wdziękiem przechyloną na poręczu szezlongi, domyślała się jakim czarującym ogniem błyszczą jéj oczy, kiedy mówi a kawalerowie słuchają z otwartemi ustami i bijącém sercem, czuła z jaką expressją odśpiéwało cudowną arję włoską, która mało o śmierć nie przyprawiła *kawalerów* i wtedy starała się stłumić ten głos nieprzyjemnie brzmiący w jéj uszach przekonaniem, że tylko *jego* jednego kocha, zadowolnieniem że spełniła obowiązki grzecznéj gospodyni, a kawalerowie każdy biorąc jéj grzeczność na swój rachunek, porwani jakby wichrem do nieba, szczęśliwi wracali do domu.

Nadchodziły imieniny Pani Prezesowéj, uroczystość, która do szaleństwa przyprowadzała wszystkich mieszkańców okolicy. Na mil cztéry w około

spotykałeś na traktach posłańców pędzących na złamanie szyi, z listami, krubkami, pudełeczkami, w których mieściły się drogie adytamenta do wdzięków. Od domu do domu włóczyli się żydzi z przywiezionémi *prosto* z Paryża albo Lipska towarami, które płaciły się, pomierną ceną, żytem, pszenicą, popiołem hreczanym, półsetkami płótna i t. d. Ponad drogą drapali się po skałach, lub błądzili po dolinach poeci parafjalni czerpiąc w pięknościach natury, natchnienia do oracji dla solenizantki. Pan Prezes rachował się z arendarzem; odbierał czynsze, ratę; Pani Prezesowa posyłała klucznicę na jarmark zdziżami séra i masła, na przedaż. Panna Aniela powtarzała exercycje Henselta i koncert Chopin'a; Panna Agata liczyła jaja; ważyła cukier, cynamon, korzenie; pokojówki latały z żelazkami, rurkami, krochmałem;

fagasy zmiatali prochy, czyścili posadzkę; ekonom kazał rybę łowić i wyglądał zniecierpliwiony szczupaka któreńby przynajmniéj miał półsążnia długości; kucharz pocieszał ekonoma że można z dwóch albo trzech szczupaków zrobić jednego dużego; kredensarz jechał do miasta po kawę, cukier, sago, świéce stearynowe i karty; strzelec poszedł z psami po źwierzynę do lasu; słowem wszystko co żyło było czemś zajęte. Wieprze nawet, cielęta, kury nie były spokojne na kilka dni przed imieninami Pani Prezesowéj.

Nakoniec oczekiwany dzień nastąpił. Pani Prezesowa odebrawszy od rodziny przez lat kilkanaście czy kilkadziesiąt powtarzane życzenia: *szczęścia, zdrowia i wszelkich pomyślności*, ucałowawszy męża, córkę i siostrę serdeczniéj jak zwykle, zabrała się ze

wszystkimi i pojechała do Kościoła na ranną mszę.

W godzinę po wyjeździe Prezesostwa z hukiem przed ganek zajechała czterokonna nejtyczanka. Wysiadł z niéj sapiąc gruby, siwy jegomość w jasnym płaszczu, w czapce na rogach i z przewieszoną fajką przez plecy.

— Jest Pan w domu? wrzasnął do stojącego na progu lokaja.

— Niéma odpowiedział lokaj.

— A gdzież?

— Pojechał z Panią do Kościoła.

— A Panna?

— I Panna pojechała.

— Nikogo niéma?

— Nikogo.

— Prędko wrócą?

— Za godzinę.

— Czy tutejszy jesteś?

— Tutejszy.

— Każże mi prędko zrobić befstek

albo zrazy i kaszę bo jestem głodny. Konie zaprowadź do stajni i niech im dadzą obrok.

Lokaj z pode-łba spojrzał na przybyłego i nie ruszał się z miejsca. Przybyły kazał znosić rzeczy, zrzucił płaszcz i pokazał się w przetartym trochę wojskowym surducie i z krzyżykiem na czerwonéj wstążeczce w petlicy.

— Befsteku albo bitasów, czy słyszysz bałwanie?

— Dobrze, Jaśnie Wielmożny Panie.

— Tylko prędko.

— Zaraz, Jaśnie Wielmożny Panie.

Potém Jaśnie Wielmożny Pan poszedł do salonu, przypatrywał się malowidłom i sztychom, poprawił w lustrze halstuch, wyprostował się, ociągnął surdut ze zmarszczków, dobył *fixatoir*, poczernił wąsy, obrócił się, chrząknął, plunął na środek pokoju, wszedł do pokojów Pani Prezesowéj,

przerzucił książki leżące na stole, obejrzał gotowalnię trafił na drzwi ukryte w kształcie szafy, chciał odemknąć, nie umiał przycisnąć sprężyny, złamał, otworzył i wszedł do garderoby.

W garderobie powstał krzyk. Słychać było długie, przeciągłe A! z rubasznym śmiechem i cienkie, przeraźliwe a! z bojaźliwym płaczem. W kilka minut wszystko ucichło; poźniej coś skrzypnęło; garderobiana odemknęła szafkę, do była wódkę; Jaśnie Wielmożny Pan wypił dwa kieliszki jeden po drugim, brrumknął i ozwał się.

„Dajno mi moja ptaszeczko séra szwajcarskiego albo kiełbasy albo co chcesz i powiedz żeby mi prędko zrobili co ciepłego. Ja tymczasem pobędę w pokoju Panny Anieli.

I poszedł. Spójrzał na łóżko Anieli zaslane śliczną, białą kapą i poduszką haftowaną na dnie rożowém, uśmie-

chnął się słodko, zbliżył się do stolika stojącego przy jéj łóżku, wziął w ręce alabastrowy Krucifix, popatrzył, postawił go na boku, podniósł serwetę, znalazł kilka listów, chciwie otworzył, przeczytał, położył znowu z gniewem; chciał odemknąć szkatułkę, nie było kluczyka, szukał po wszystkich puszkach, nie znalazł, wrócił do salonu, kazał sobie podać fajkę i rozwalił się na kanapie.

Zapewne, ciekawy jesteś wiedzieć kochany czytelniku, kto to ten nowy gość co przyjechał do domu Prezesa jak do swego i rządzi się w nim jak szara gęś. Poznałeś już Pana Prezesa i Panią Prezesowę, Pannę Agatę i Pannę Prezesównę; trzeba żebyś jeszcze poznał rodzonego brata Pana Prezesa. Pozwól więc niech cię zaprezentuję.

Łaskawy czytelnik.

Pan Pólkownik Burda. (Tak go za-

wsze w pułku nazywano) Pan Półkownik od lat trzydziestu służył w wojsku, często zwiedzał łazaret kiedy widział śmierć przed oczyma, choć nie był chory; i każden co się dobrze nad tém zastanowi przyzna że najrozumniéj robił; nie lubił *subjekcji*, jeździł za rejmontą, żył z wszystkimi dobrze, zawsze był wesół, dosłużył się rangi Majora, w odstawce był Podpułkownikiem, a przez skrócenie i grzeczność Pułkownikiem. Przez łat pietnaście nie widział się z Prezesostwem; przyjechał na imieniny bratowéj żeby jéj zrobić niespodziankę.

Wprędce wrócili Prezesostwo z Kościoła. Pułkownik wyszedł na przeciwko, z radością ich przywitał i dwa razy pocałował w same usta Anielę, która nie znając prawie stryja i nie mogąc jeszcze w zamieszaniu domyśléć się

kto był ten wąsaty oficer, o mało appoplexji nie dostała.

Tu dopiéro była prawdziwa *Profanacja.*

— Jakże urosła Anielcia! zawołał Półkownik, zaglądając w oczy synowiczce; „jaka piękna! a jak do mamy podobna! i ojca wiele przypomina.“

Nie bardzoby to pochlebiało Anieli, gdyby te porównania po raz piérwszy słyszała; ale rzeczywiście, wszyscy się na jedno zgadzali, że Aniela miała oczy babki, nos dziadka, czoło ojca, usta i brodę matki. Zebrawszy to wszystko pojedyńczo, natura utworzyła jedną piękną całość.

Koło godziny czwartéj z południa, ruch na dziedzińcu coraz się powiększał. Zajeżdżały jedne po drugich karety sześciokonne z kozakami i bez kozaków, w angielskich szorach i w krakowskich chomątach, kocze, koczyki, nejty-

czanki, szarabany i wprędce sala napełniła się najrozmaitszemi postaciami. Pod Panią Prezesową nogi drżały od dygania. Sypały się powinszowania z ust wszystkich, jakby tylko raz w rok i to na jeden dzień można było życzyć dobrze. Krzyżowano posadzkę we wszystkich kierunkach zostawiając na niéj ślady jak od *Tatarskiego tańca.*

Zajęto miejsca we wszystkich kątach salonów. Poważniejsi mężczyzni i matrony na sofach, obok solenizantki; panny we framugach okien, a w koło nich, z kapeluszami w ręku, z czubami na głowach, z słodkiemi słówkami w ustach kręciła się młodzież potrzęsając zlekka nogami i bawiąc się łańcuszkami od zegarków.

Dobry ton zachowany był w zupełnym porządku: Wszyscy mówili o tém do czego się przygotowali na drodze, z uwagą, pomału, przyzwoicie i

wyjąwszy tylko upoważnionych do tego staruszków, co puszczali czasem wodze dowcipowi, a zadowoleni sami z siebie śmieli się głaszcząc po brzuchu, nikt nie przestąpił granic prawdziwie salonowéj *convenance* XIX, wieku. Panicze mówili po francuzku: z francuzka po polsku i z polska po francuzku, różnie, jak kto umiał; z zadziwiającą łatwością nic nie znaczące przedmioty, *des petits riens*, przekształcali w olbrzymie postacie mowy pełnéj najżywszego zajęcia; prosili panien o pozwolenie im kwiatów, któremi się bawiły, ale tylko na chwilkę powąchać; układali z nich symboliczne frazesy i zostawiali w tych niewinnych sercach wrażenia, które długo potém niezatarte i obudzone w kilka dni po balu nieśmiałym głosem drżącego z niepewności rozczochranego adonisa, miały stopniami metamorfozować się w sym-

patję, sprzyjanie, przyjaźń, nakoniec miłość i słodką truciznę. Panienki przykrywając batystowemi chustkami rumiane usteczka żeby tém droższym i pożądańszym uczynić ich widok, trącały się pod boki, sprzeczały się łagodnie z oblegającymi mężczyznami, a dla zelektryzowania ich całowały się ciągle jak najściślejsze przyjaciółki.

Właśnie w téj chwili kiedy wchodził do sali Pan Bonawentura Farfadowski, Aniela czule ściskała *dawną przyjaciołkę*, ktora dwa lata temu poznała w magazynie w Odessie i odtąd jéj nie widziała.

— Ma parole d'honneur,— rzekł do Anieli pan Farfadowski skłoniwszy się, — ledwo nie zemdlałem na progu.

— Czego?

— Mon Dieu Seigneur! mais comment czego; ledwie nie zemdlałem; vous me ferez mourir, vraiment.

— Mais, Monsieur, Pan mię przestraszasz, que vous ai-je donc fait? — Pan Farfadowski uśmiéchnął się, potém założył ręce na piersi, westchnał, obrócił się na jednéj nodze powtórzył kilka razy: — umrę, umrę na honor, sur mon honneur, umrę — i zaczął opowiadać jak go kilka dni temu konie ponosiły.

Panna Aniela wzruszyła ramionami.

Na boku stało koło mężczyzn w jasno-zielonych i jasno-błękitnych kamizelkach, nie śmiejąc zbliżyć się do panien a nie mając czego do poważnych. Były to posilkowe pułki które leciały w pomoc damom nielitościwie zostawionym bez kawalerów do tańca. Wywinawszy się tak zgrabnie Pan Farfadowski zbliżył się do nich i bawił dyskursem o sobie, jak zręcznie się znalazł i jak zmieszał Pannę Anielę, dodając że Panna Aniela była to córka go-

spodarza domu. Jasnozielone i jasnobłękitne kamizelki za boki brały się od śmiechu.

W jednym kącie salonu zbierała się jakaś walna rada z osób różnéj płci i różnego wieku złożona. Nareszcie całe to grono z nizkiemi ukłonami zbliżyło się do Panny Anieli i śmielsi odważyli się ją prosić aby raczyła zaśpiewać.

Panna Aniela wymawiała się jak mogła, składając na ból gardła, na chrypkę; mówiła że teraz nic nowego nie śpiewa, że fortepian rozstrojony. Nic to nie pomagało. Prosiła nakoniec żeby jéj pozwolono odłożyć śpiewanie na poźniéj bo teraz *nie jest w usposobieniu* a najlepiéj lubiła śpiewać *à la brune*. I to nie rozbroiło natrętnéj grzeczności. Musiała więc chcąc niechcąc, zbliżyć się ślizgając do fortepianu, wzięła kilka akordów, cichuteńko odchrząknęła i rzekła:

— Jak Mamę kocham, nie mogę teraz śpiewać. Wszystkich uszy będą bolały. Niech przynajmniéj, panowie będą łaskawi nie stoją tak blizko.—

Wiedziała że śpiew najlepiéj się wydaje zdaleka.

Śpiéwała arję z opery *Montecchi e Capuletti*.

Jak wielka potęga muzyki! Kto był w salonie i widział całe towarzystwo przed zaczęciem arji, gdyby teraz wszedł, byłby nikogo nie poznał. Twarze wszystkich krzywiły się w konwulsyjnych ruchach: to się kurczyły, marszczyły, ściągały na passaże idące od najniższego do najwyższego tonu, to prostowały się, rozciągały, przedłużały na przejścia z najwyższego do najniższego, to znowu rozszerzały się, nabrzmiewały, pęcniały kiedy jaki zachwycający śpiew *exekwowała* Panna Aniela z nieporównaném uczuciem i precyzją; a wszyscy milczeli.

— Cudownie!—wrzasnął Pan Farfadowski, kiedy skończyła.

— *Sublime!* — zawołał Hrabia Mężnicki, — *rien de plus beau.*

— Co to za piękna opera ta ta mamuleti-papuleti! — rzekł Pan Mateusz Kapuściński.

— Niech mię djabli wezmą, — ozwał się Jacek Szumiłło — Panna Aniela śpiéwa jak kanarek. —

Pan Euzebjusz Wroczniewski zrobił uwagę, że kiedy Orfeusz gra a Panna Aniela śpiéwa, to kamienie tańcują.

— *Vous avez la voix d'ange, divine Angelique!* — zmówilo się kilka kobiét razem.

— Okropnie dzisiaj śpiewałam, — rzekła wstając Aniela.—

Kilka wykrzykników.

Zaczęli się wszyscy tłoczyć około fortepianu popychając się i następując na nogi. Podziękowania zagłuszyły Anielę.

— *Ah, de grâce! ne quittez pas encore le piano*—odezwał się ktoś z tłumu.

— Dziękujemy za już, a prosimy o jeszcze — ryknął pan Sędzia czy pan Deputat a podobno obadwą razem.

— Ja nic więcéj nie umiem — odpowiedziała Panna Aniela.

Znowu kilka wykrzykników.

Ale choć nic więcéj nie umiała, Aniela była przymuszoną śpiewać i grać bo wymówki jéj, jakkolwiek sprawiedliwe, nie były przyjęte.

Trzeba wiedzieć że Panna Aniela brała lekcje śpiewu w Odessie u Mariniego, a muzyki w Kijowie u Drejschoena kiedy przyjeżdżał dawać koncert na kontrakty i u Thalberga za granicą. Nic więc dziwnego że tak wszystkich zachwyciła. Fortepian zaś był doskonały: o dwóch tylko pedałach, bez bronzów, na kółkach i z chowającym się we środek pulpitem.

Kiedy się ściemniać zaczynało i zebrali się wszyscy co zwykli byli dla zachowania *bon ton* pozno przyjeżdżać, zapalono świece i podano do stołu. Pan Prezes chodząc od jednego mężczyzny do drugiego, komenderował: kogo z dam i w jakim porządku mieli prowadzić; sam zaś, podawszy rękę jakiejść damie która najwięcéj miała na sobie pereł i brylantów, potoczył się w piérwszéj parze do sali jadalnéj.

Przy obiedzie, z początku, słychać tylko było szczęk sreber i talerzy, poźniéj ziewanie z pod serwety, a w końcu narzekania między pannami i brzęk kieliszków na szarym końcu. Obiad trwał półtory godziny.

Nakoniec zabrzmiała wrzaskliwie muzyka, dawno oczekiwanego poloneza. Więcéj nerwowe damy krzyknęły z przestrachu, inne zaczęły się uśmiéchać i całe towarzystwo, na czele któ-

rego była owa dama w perłach i brylantach, posunęło się do przyległéj sali.

Po skończonym Polonezie *pospolite ruszenie* szukało zdobyczy, którą ciągnąć miało na środek do kadryla.

Stanęli. Dano znak. Mężczyzni sztywnie trzymając się, ze wszelką sumiennością wykonywali: *pas en avant*, *glissades croisées* i *pas de zephyr*; damy latały w powietrzu z zaokrąglonemi rękami, nie jadłszy nic przy obiedzie *pour être plus aëriennes*. Mamy nie spuszczały z oka córeczek. Ojcowie zasiedli do wista i preferansa, któren zaczynał się skromnie od pięciu groszy a kończył się na pięciu pecach diabełkiem. Byli i tacy co nie tańczyli i nie grali, tylko siedząc w kącie, zdaleka od reszty towarzystwa, zbierali, jak do historji, źródła — dla podsycenia bladego dowcipu do którego mieli pretensje i dla popisania się publicznie swym niby po-

strzegawczym wzrokiem. Ci panowie widocznie narażali się na niebezpieczeństwo nie być przyjmowanymi w porządnych towarzystwach. Dosyć że wszyscy wybornie się bawili nie przestając dziękować Prezesostwu za tak *miły wieczorek*.

Po piérwszéj próbie etykiety, towarzystwo coraz więcéj ożywiać się zaczynało. Mężczyzni byli śmielsi i panny rozmowniejsze. Młodzież mniéj sumiennie wykonywała glissady i balanse a powietrzne tancerki zaczęły już dotykać się ziemi i deptać po nogach. *Les lions des sociétés* popisywali się zgrabnością, ślizgając się i strasząc czułe dusze udaném padaniem, okręcali się na środku dwa razy, hukali, a czasem i w dłonie klaskali; to znowu zaczynali *nosić* i energicznie tupiąc i bijąc nogami pruli podeszwy i bóty; oglądali się zézem czy wszyscy widzą i podziwiają

ich talent a kończąc mazura zawijali *à la obertas* tancerkami tak, że wszystkie fałdy policzyć można było. Gwar wzrastał; zygomatyczne muskuły częściéj były w ruchu. Mamy, nasyciwszy wzrok swój wdziękami córek, z kolei przeszły do obmowy a w końcu zaczęły drzémać. Ojcowie, wypuściwszy z rąk drobne pieniądze, zaczęli wyciągać z sakiewek złoto a poźniéj i pugilaresów dobyli. Łysiny coraz bardziéj zaczęły się czerwienić i włosy podnosić a kołnierze krochmalne, trzymając dotąd kark w absolutném posłuszeństwie, pomięły się i osiadły. Dowcipni postrzegacze zawczasu pletli sami dla siebie dębowe wieńce i ułożyli już pewny plan dla bawienia nazajutrz towarzystwa, które nie miało udziału w zabawie, *sprytném* opowiadaniem szczegółów balu i wyszukiwaniem śmieszności nawet tam, gdzie jéj nie było.

Do czego to rozum ludzki nie dojdzie!

Aniela tego wieczora była piękną i dziwnie zajmującą, piękniejszą jeszcze jak zwykle. Któraż Panna nie jest piękniejszą na wieczorze? Mocny rumieniec odbijał na jej śniadéj, melancholicznéj twarzy, jak piérwsze promienie słońca zjawiające się na tle czarnéj, posępnéj nocy. Ciemne włosy, zwite w długie, regularne pukle, pieszcząc się z jéj piękną szyjką, łaskotały ją za każdém poruszeniem; a oczy!.... oczy, zamglone jakby tajemniczą, przezroczystą zasłoną nie dozwalającą zuchwałemu wzrokowi, przejrzeć w głąb duszy, przez ich oślepiający kryształ,— oczy te, których kruche ciało nie było godném, pałały tak silnym blaskiem, że gdyby wtedy świeciło słońce a Aniela spójrzała na nie, pewnoby Astronomowie wleźli na obserwatorjum. W ruchach jéj i całéj

postawie złączone były wspaniałość, lekkość Taglioni i naiwna prostota Chloi. Głos podobny był do eolskiéj arfy, a skład ramienia i ręki mógłby służyć za najdoskonalszy wzór Fidiasowi i Pratitelesowi.

Cóż się działo z nieszczęśliwymi zakochanymi?

Czytelniku! Jeżeliś się jeszcze nie kochał, a masz serce tkliwe, zaklinam cię w imieniu panów Farfadowskiego, Mężnickiego, Wroczniewskiego, Kapuścińskiego, Szumiłły, i innych, zaklinam cię na cienie ojców, na cnoty obywatelskie, żonę, dzieci, jeżeli masz to wszystko; na przedmioty najdroższe ci i najświętsze: nie kochaj się nigdy. Ażeby dójść do tego, nie patrz na kobiét, nie mów z niémi, odwracaj się, uciekaj, zatykaj uszy, chyba która z nich sama przyjdzie do ciebie i powié: „*kocham*.“

Ach; bo cóż to za niesprawiedliwość

cięży nad naszą płcią od siedmiu czy ośmiu tysięcy lat! Prócz pierwszéj matki naszéj, do dzisiejszego dnia, ile mi wiadomo, jeszcze żadna kobiéta nie uprzedziła mężczyznę tém słowem. A jeśli historja przytacza jakie przykłady, to fałsz, to należy do bajecznych czasów heroizmu. Zdrowa, bezstronna krytyka tego nie pojmuje.

Podajmy sobie, bracia moi! dłonie na pognębienie przemocy kobiét pod którą jęczymy od siedemdziesięciu kilku wieków; wystawmy ołtarz wolności mężczyzn a ujarzmienia kobiét i poprzysiężmy na nim że nigdy jedném westchnieniem, spójrzeniem, skinieniem, nie okażemy naprzód naszych uczuć kobietom i będziemy milczeć, milczeć jak grobowe kamienie, póki pierwsi nie usłyszymy słowo: „*kocham*", milczeć, chociażby nawet cały ród ludzki miał z nami zaginąć.

Ha! okrutne! pomścimy na was nie za jednego Wertera. Zemszczę się i ja na tobie, Panno Anielo za moich przyjaciół.

A moi przyjaciele, prawdziwie byli nieszczęśliwi. Kołysani między życiem a śmiercią, między nadzieją a niepewnością, latali bez pamięci, oczarowani wdziękami Anieli, która odznaczała się śród innych jak najpiękniejsza dalja śród polnych kwiatów.

Gdyby był wówczas jaki lekarz w sali, pewnieby znalazł stan ich tak niebezpiecznym, że jednemuby krew puścił, drugiemu pijawki postawił, trzeciemu wizykatorje a czwartemu i piątemu głowę ogolił i do Bonifratrów oddał.

Szczęściem, że nadzieja pomagała wszystkim jak najskuteczniejsza mixtura i była doskonałém antidotum przeciw zapaleniu mozgu.

Pokrzepieni tą mixturą i posileni grzecznemi słowami dobréj i gościnnéj Anieli, rywale pilnowali swoich protektorów i czynnie zajęci byli jéj losem, nie troszcząc się czy ona sama myślała o tém lub nie.

Hrabia Arnold chodził ciągle od Anieli do Pani Prezesowéj i od Pani Prezesowéj do Anieli. A ponieważ był jednym z rzędu tych ludzi, co to *pewni siebie* i z lwem gotowi się mierzyć kiedy wiedzą że ten nie ukąsi, litośném okiem patrzał na zgraję otaczającą przedmiot jego miłości a pogardliwém na tych których przeczuwał jako nie życzliwych. Zbliżywszy się do pani Prezesowéj, przyłożył do nosa lornetkę i zawołał:

— *Votre bonté, madame, est incomparable*, żeby chcieć cierpieć te *szubrawstwo* bez wychowania.—

— *Que voulez vous, mon comte, c'est*

la volonté de mon mari. Ja zawsze tak postępuję jak mój mąż chce. I chociaż w mojém przekonaniu kobiéta przez wrodzoną jéj łagodność, więcéj powinna mieć wpływu na męża, niż ulegać, jednak idę wbrew mojemu zdaniu, przez szacunek, który mam dla mego męża.

Tu pani Prezesowa, jako troskliwa i przewidująca matka chciała usłać Anieli drogę do zawojowania Hrabiego, którego przysposabiała na zięcia.

Pan Hrabia westchnął.

— Soyez tranquille, — rzekła Prezesowa, — mój mąż mnie tak kocha że wszystko dla mnie zrobi, a nie może nie oddać sprawiedliwości osobistym przymiotom i tak licznym zasługom położonym w kraju. Anielcię biorę na siebie. To dobre, niewinne i posłuszne dziecko. Można w niéj łatwo zaszczepić miłość, chociażby jéj jeszcze nie miała.—

Tak to czuła matka korzystała z *do-*

broci, niewinnosci i *posłuszeństwa* dziecka!

— Dobroć Pani, — odrzekł Hrabia ucieszony — stawia mię w niemożności podziękowania Jéj godnie.—

— Mam nawet w podejrzeniu Anielcię, że już oddawna zajęta Panem, bo często ją widzę zamyśloną i płaczącą, tylko przez skromność nie chce się z tém wydać.—

— Ja sam gdybym się nie lękał zaślepienia właściwego wszystkim zakochanym, możebym dawno mógł dostrzedz dowody przekonywające mię: że Panna Aniela zupełnie odpowiada moim uczuciom.—

Pani Prezesowa spójrzała ze znaczeniem na Hrabiego. Nie rada była że córka odważyła się dać mu poznać swoją życzliwość bez jéj zezwolenia.

— Ale, — dodał Hrabia poprawiając się — może to było przypadkiem.

— Co, przypadkiem? —

— Sciśnienie ręki.—

Na kilka dni przed balem, Aniela idąc w towarzystwie kilku osób do ogrodu, poślizgnęła się na schodach i padając podała rękę panu Mężnickiemu któren stał najbliżéj.

Pani Prezesowa była aż nadto pewną że to *było przypadkiem*. Pan Mężnicki wziął to za dobry znak. Zakochani i mający pretensję do tego bardzo łatwo, najlżejszy pozór, najniewinniejsze słówko bez znaczenia wymówione, tłumaczą sobie i nakręcają według swoich życzeń.

Protektorka nie odpowiedziała nic Hrabiemu. Pan Arnold zmieszany zbliżył się do Anieli i miał już zająć miejsce koło niéj, gdy wtém przyszła na nią koléj tańcowania z Panem Wroczniewskim.

Hrabia, będąc już pewnym *sukces-*

sów, z tryumfująca miną spójrzał na tańcującego a Pan Wroczniewski, któren był wielkim fatalistą, wierzył w przesądy i w najprostszych zdarzeniach widział nadzwyczajne wypadki, skończywszy taniec, usiadł koło panny Anieli i rzekł z oczami w górę podniesionemi:

— Jeżeli możemy wierzyć że jest jakie *fatum*, które śmiertelnemu od kolebki niemowlęcia, do trumny starca towarzyszy; jeżeli powinniśmy wierzyć, że Wszechmocny uwieńcza koroną pokoju i szczęścia zbolałe skronie istot wskazanych na długie cierpienia; jeśli nakoniec przez dociekanie rozumu, dochodzimy do téj nieomylnéj prawdy, że magnetyczne *chcenie*, połączone z silną wolą, wyrobioną w naszém jestestwie, działalnością władz umysłowych, przy bezpośrednim wpływie Najwyższéj siły i pod błogosławiącą rę-

ką Opatrzności, która kieruje krokami wędrowca, — zamienia ideę w rzeczywistość, możliwość w sam fakt; to przyznać potrzeba, że teraźniejsze zdarzenie jest dostatecznym dowodem.......

— *Vous avez raison*, podchwyciła uśmiechając się Aniela, nie wiedząc o co rzecz idzie, a bojąc się żeby filozof nie zaplątał się łańcuchem syllogizmów.

Pan Wroczniewski z uczuciem uwielbienia i wdzięczności spójrzal na Anielę i zawołał w uniesieniu przerabiając na prozę słowa Wacława z Marji Malczewskiego.

— Pani! Kiedy lubiłem błądzić po dzikich stepach i dzikszych jeszcze od stepów, puszczach umysłu mego aż przedmioty będące przed oczyma mojemi pokryje siny pomrok i nic rozpoznać nie mogę; nigdy żadna gwiazda nie oświeciła mię...........

Chciał już dodać: Tyś dla mnie

zeszła Anielo! gdy przebiegjące w figurze mazurowéj damy, wzięły Anielę do koła i stłumiły zapał poetyczny natchnionego Pana Euzebjusza.

Ale Pan Euzebjusz nie żądał na piérwszy raz większego szczęścia, wstał, wyprostował się iż zdawał się wyższym od samego Szumiłły, przeszedł pod sam nos Panu Mężnickiemu i nieprzytomny prawie zawołał patrząc na Anielę:

Błogo mi, żem w Twych oczach przez mokre zrenice,
Życia, czucia aniołów znalazł tajemnice.

—Czyje znałazłeś tajemnice? krzyknął przyskakując, Pan Farfadowski: zmiłuj się, pokaż mnie—co? czy nie list jakiéj panny? aj, dalibóg umrę z radości. Pokaż mnie, jeśli ci Bóg miły.

—Ale ja żadnych tajemnic nie zna-

lazłem odpowiedział zmieszany Wroczniewski.

— O! a jaki *ty* zazdrośny. Słuchaj no *ty*, pokaż, ja nikomu nie powiem.

— Bez żartu, nie znalazłem.

— Słowo honoru?

— Słowo honoru.

A w tém ugryzł się za wargi Pan Wroczniewski czując jakby wyrzut sumienia, że dał fałszywie słowo honoru.

Pan Farfadowski poleciał do Panny Agaty.

— Moja Ciociu Dobrodziko, najdroższa Ciotuniu, najlepsza ze wszystkich jakie tylko są ciocie na świecie, powiedzże mi, co ja nieszczęśliwy będę robić, ja umrę z niecierpliwości.

— To bądź cierpliwym.

— Kiedy nie mogę.

— Ja na to nic nie poradzę; nie proszę mnie o nic.

— Mogę, Królowo, dobrodziko, orędowniczko moja, pośredniczko moja, mogę, czekam, słucham, skaczę jak każesz.

— To bądźże cierpliwym.

— Będę mój Aniele, mój rajski ptaszku, moja pośmiciucho.

— Nono! już zaczynasz, ty trzpiocie.

— Nie będę Panno Agato Dobrodziko.

— Słuchaj-że mnie. Wiesz o tém że ja Anielkę kocham nad wszystko na świecie i pragnę jéj szczęścia. Najpiérwszym więc warunkiem spełnienia twoich życzeń będzie jéj skłonność ku tobie. Jeśli się nie potrafisz jéj podobać, w tém nie moja wina, a od wszelkich związków nie zgadzających się z jéj sercem będę ją bronić całemi siłami. Przez cały ciąg bywania twego w naszym domu, uważałam że była bardzo grzeczną dla ciebie, ale to trwożliwe stworzenie;

trzeba z nią ostrożnie postępować żeby zamiast rozżarzenia, nie zagasić uczucia w małéj jeszcze może, iskierce tlejącego. Udawaj więc, przez jaki czas zupełnie obojętnego dla Anieli. Obojętność jest najpewniejszym środkiem podbicia serca młodych kobiét, a przeciwnie, zbyteczna otwartość, narzekania, patetyczna mina i czułe wylewanie się z uczuciami niechybnie wzbudzają obojętność w kobietach, które nawet zaczęły już kochać.

— Prawda, ciociu kochana, ja to wiem z doświadczenia.

— Niezawodnie, rzekła daléj ciocia: otoż bądź obojętnym; mów z nią o rzeczach, które najmniejszéj łączności z miłością twoją nie mają, kup sobie encyklopedję albo jaki naukowy dziennik, odczytuj często i świeżo po odczytaniu opowiadaj jaki ważny wypadek albo zajmujące odkrycie opisane

przez znakomitego autora nad którym pracowałeś przed kilką laty; naucz się kilkadziesiąt tytułów uczonych książek, a jeśli można znajdź ich treść, zatrzymaj w pamięci, rozumie się, wybieraj takie wiadomości, któreby mogły zająć kobiétę i to młodą kobiétę, wspomnij że masz zamiar wyjechania za granicę; powiedz że nie lubisz długo w domu siedzieć, mówiąc o ludziach, przejdź zręcznie do pożycia małżeńskiego różnych osób, wymień nawet nazwiska; powstawaj na surowość obchodzenia się mężów z żonami; chwal te kobiety co mężów w czépek, jak wy mówicie, ubrały. To wszystko mów przed moją siostrą ale tak, żeby Anielka słyszała. O sobie jak najmniéj — wybieraj tylko takie przedmioty do rozmowy, w których ważniejszą rolę grają jakie znaczne osoby, a ty niespodzianie zjawiasz się na końcu dramatu z jakiém poświęce-

niem się, ofiarą, grzecznością, propozycją składki na ubogich, na Kościół, lub tym podobne. Wspomnij o tém krótko, jakby nawiasem, wesprzyj jakiém urzędowém poleceniem; — resztę oddaję na twój spryt. Tylko bądź mi posłusznym. Ja zaś odtąd będę z tobą oziębłą aż do niegrzeczności.

— Nieporównanie: moja droga ciociu Aguniu, tylko zmiłuj się, nie męcz mię długo, boja nie wytrzymam; wezmę pistolet, padnę do nóg Pannie Anieli i powiem że wleb sobie strzelę.

— Ale nie strzelisz? zapytała ciocia Agunia.

— Może i strzelę odpowiedział Pan Bonawentura.

— Zaczekaj jeszcze trzy miesiące.

— Zaczekam ale tymczasem każę sobie kule robić.

— Nie masz z tém czego tak się spieszyć!

— Aj! krzyknął ktoś przeraźliwie na końcu sali i mnóstwo mężczyzn pobiegło w jedną stronę.

Pan Szumiłło któren dotąd z Pulkownikiem, w bocznym pokoju fajkę palił i o polowaniu rozprawiał, poszedł walca z Panną Anielą, ale że mu już w głowie szumiało, zakręcił się, zachwiał i upadł jak długi, ze swoją tancerką. Ochoczo rzucili się, chciwi takich wypadków, usłużni *galantomi* i ze zbytku grzeczności wznieśli biedną Anielę na powietrze.

— Przepraszam — rzekł śmiejąc się Pan Szumiłło.

Nic to: rzekła płacząc Panna Aniela.

Ale Pan Szumiłło nie poprzestał na tém i całując w rękę Anielę zaklinał się na wszystkich diabłów, że wolałby sto razy kark skręcić z konia goniąc za wilkami, niż tak upaść.

— Dieu! Quelle idée! zawołała Panna Aniela.

— Co nie wierzysz mi Pani? rzecze Pan Szumiłło. — Na uczciwość, na honor, na piekło, powiadam Pani, że wołałbym sobie łeb o drzewo roztrzaskać żeby mi aż mózg wyskoczył, niż......

— Ach! krzyknęła Panna Aniela, zatykając uszy.

Mężczyzni myśląc że Pan Szumiłło znowu przewrócił się z Panną Anielą przybiegli z drugiego pokoju, ale zastali wszystko w porządku.

— Jacuniu! chodź no tu. Jacuniu! odezwał się Pan Pułkownik to nie twoja rzecz, chodź no tu i wyciągnął Pana Szumiłłę.

Aniela wolniéj odetchnęła. A ile razy zaczynali grać walca wychodziła z sali.

Tymczasem Pan Mateusz Kapuścin-

ski także nie próżnował. Bal jest to jarmark albo kontrakty w swoim rodzaju, z tą tylko różnicą, że tam handlują na serca. Młodzież nabiera więcéj odwagi, a panny tracą bojaźliwość. Czém to się dzieje tego podobno nikt nie wytłumaczy. Może muzyka zagłusza słowa wielbicieli, które półbrzmieniem dolatując do uszu, mniéj strasznie dźwięczą a z większą harmoniją grają w duszy przy wtórowaniu fletów, skrzypców i wiolonczeli? Może wino rozgrzewa umysł i rozpala wyobraźnię w mężczyznach a taniec w kobietach; a w gorącém ciele i dusza mocniéj kipieć zaczyna. To podobne do prawdy; warto żeby się nad tém psychologowie zastanowili. Może zbliżenie się, trącania, dotykanie w tańcu ma także pewne znaczenie, zę względu na stosunek ciała z duszą? To należy do newrologów. Może nakoniec wdzięki

rozwinięte w całéj świetności i pełnym blasku, z najpiękniejszéj strony przedstawiają się oku, które na wszystko patrząc jak przez pryzmę, w czarującą barwę obleka przedmioty i idealizuje nawet to co największym materjalizmem trąci? To zostawiono do rozstrzygnienia fizykom i poetom. Ale to pewna że interessa sercowe najczęściéj załatwiają się na balu. Bezinteressowni negocjanci, co nie uganiają się za procentami, mieniają głowa na głowę, serce na serce; a spekulanci dają lub biorą w dodatku złoto, srebro, assygnaty albo *dusze* które, jak na cyrografie, na intercyzie opisują. Poczciwi staruszkowie i szanowne staruszki, dbając troskliwie o ludność a bojąc się żeby z ich śmiercią, w Statystyce, rubryka umierających nie była większą od rubryki rodzących się, zjechawszy się raz albo dwa razy w rok na jakiéj, *okazji*, ra-

dzą, rozmyślają, liczą i czynnie zajęci są *swatowstwem*. Miarkują po wzroście i tuszy tańcujących jakaby to mogła być para; dźwigają z gruzów prawie, chylące się do upadku,. majątki; wnoszą tytuły, godnoście *stosunki* do familji, które pozbawione są tego szczęścia; naprawiają imiona które fałszywie skrzypią w uszach, ale że nie chcą niczyjéj krzywdy odrachują co rozwód kosztować może. Niech im Bóg da zdrowie, tym swatom; bez nichby świat upadł niechybnie!

Pan Mateusz, którego odwaga doszła także do wyższéj temperatury, po kilku słodyczach powiedzianych Anieli nie odstępował na krok Prezesa, trzymająo się téj maxymy: że starający się kawaler najpiérwéj sobie głowę domu zjednać powinien. A że Pan Prezes udawał w domu wielkiego człowieka, często powtarzał „ja każę mojéj żo-

nie" i krzyczał nie raz : „ja Pan domu." Pan Kapuściński święcie wierzył w potężną władzę Pana Prezesa i całe swoje szczęście w jego ręku złożył. O Anieli zaś zdawał się tyle tylko myśleć, ile kupujący o koniu na jarmarku, o którego targuje się z kupcem. Pan Mateusz miał wygodny dom i dobregokucharza, był zatém pewnym że Anieli będzie ciepło i będzie miała co jeść. A prawdę mówiąc, to już wszystko co potrzeba do szczęścia byle tylko zdrowie służyło. Ciało należy do ziemi o ciało też najwięcéj troszczyć się powinniśmy; dusza do nieba więc o niéj w niebie tylko trzeba myśleć. Reszta zależy od wyobrażenia rzeczy.

Czegoż jeszcze potrzeba było dobréj i pięknéj Anieli ? Była bardzo dobrze ukształconą, umiała grać, śpiewać, miała nóty, książki i fortepian. Trzeba jéj było tylko pieniędzy, pieniędzy

jak najwięcéj. Otoż wszystko co może szczęście zapewnić. Aniela wprawdzie mogła być bardzo bogatą z własnego posagu, ale Pan Prezes sprawiedliwą uwagę zrobił, że *od przybytku głowa nie boli*. Przytém potrzeba było szanować majątek pracą nabyty albo odziedziczony po znakomitych przodkach.

Pan Mateusz zapisywał na całym swoim majątku hipotekę posagu Anieli i prócz tego sto tysięcy swoich własnych, z tym jednak warunkiem, że w razie rozwodu albo śmierci bezdzietnéj, ta summa powraca do niego. Pan Mateusz był człowiek łatwy do *interessu*. Główniejsze punkta między Prezesem, a Panem Mateuszem już były ułożone, szło tylko oto jak trafić do Panny Anieli o któréj przywiązaniu Pan Mateusz zdawał się jeszcze wątpić.

Pan Prezes cały zajęty był szczęściem swojéj córki. Co to za dobry ojciec!

— Ja sam za ciebie oświadczę się mojéj córce. Spodziéwam się że długiego oporu nie będzie, a gdyby był jaki, to tylko ze skromności panieńskiéj. Znam ja te ceregiele. Bo już też, zdaje mi się, Aniela ma nadto rozsądku ażeby mogła odrzucać tak *korzystną partję*.

Pan Mateusz w obyd wa ramiona pocałował Pana Prezesa, i przebili rękę.

Aniela była przedaną.

Tańczono do białego dnia. Kiedy już rozjeżdżać się mieli, wszyscy *kawalerowie*, żeby jeszcze ostatni raz nacieszyć się drogim widokiem, cisnęli się około Anieli nie dając jéj odpocząć zapytaniami, podziękowaniami, przypomnieniami jakicheś obietnic....

Pan Euzebjusz szepnął w ucho Anieli z Gosławskim.

Czemuż noc ta nie trwała do skończenia świata?
To tak przykro po balu rozstać się o świcie,
Jak żegnać dla mogiły miłe jeszcze życie.

Pan Szumiłło, mniéj poetyczny jak Pan Euzebjusz, wtoczył się z ogromnym kielichem wina do sali, pieniąc i klipiąc oczami, przykląkł, pocałował Anielę w nogę. chciał coś powiedzieć, nie mógł i wychylił do dna.

Mamy, widocznie obrażone, że Aniela dziś była najwięcéj *wziętą* z gniewem żegnały się z Prezesową, a ze złością całowały w czoło niewinną Anielkę, która z całą szczerością dziękowała im za przyjemność sprawioną całemu domowi, łaskawém przybyciem. Rozjechali się, a dóm Prezesostwa wyglądał jak po wojnie.

Aniela długo zasnąć nie mogła i zdawała się dobrowolnie od siebie sen odpędzać. Póki trwała wrzawa w sali, a wesołość w sercu, była nadto roztargnio-

ną ażeby mogła o czémkolwiek myśleć z rozwagą. Teraz zasunąwszy story swego okna, odprawiwszy spiesznie służącą, pogrążyła się w zadumaniu, wywołując z pamięci najdrobniejsze szczegóły upłynionego wieczora.

Przyznajcie się piękne Panie, roztrząsacież z taką uwagą sumienie wasze idąc do spowiedzi, jak każden bal z rana położywszy się w łóżko; jeśli która z was nie jest tak ospałą żeby odkładać rozpamiętywanie nazajutrz? Ja wiem z pewnością, bo mnie to mówiły moje dobre i szczere siostry i kuzynki, że każda młoda kobieta, w dwóch tylko okolicznościach życia myśli *serjo*: z rana po balu, i w wilją przed ślubem.

Co bo też to powodów ważnych do myślenia, dla każdéj młodéj kobiéty po balu! Naprzód potrzeba zapytać lustra komu przeznacza koronę królowéj balu i przebiedz myślą wszystkie piękniejsze

twarze, potém przypomnieć sobie kto z kim najwięcéj tańczył, jak mówili do siebie, jakiemi oczami patrzyli, jak się uśmiechali i przywitać się albo pożegnać z nadziejami; daléj, powtórzyć każde słowo powiedziane, przypomnieć ton, minkę, grymasik, miejsce, czas; dostrzedz wrażenie na słuchaczu; rozebrać krytycznie każde słowo usłyszane ze wszystkiemi także okolicznościami; rozważyć charakter mowcy i jego opinię publiczną, charakter, wiek; wnosić stąd szczerości lub fałszywości mowy. To nawet nie mała praca! a nieodbicie potrzebna.

Taką pracą zajęta była Aniela oparta na łokciu o poduszkę, zmęczona, rozkryta, naciągnąwszy do połowy tylko, lekką przezroczystą kapę. Lica jéj rozegrzane, przybrały niezwyczajny wyraz: rumieńce silne i nieregularne pałały na jéj twarzy, jak łuny po-

żaru na tle czarnych obłoków. Piersi wznosiły się gwałtownie, jak gdyby płuca rozdmuchać chciały, ogień coraz silniéj tlejący w jéj łonie. Serce biło tak mocno, że rozbijając się echem o porecze jéj łóżka, tłumiło odgłos tętniącego zegarka co wisiał na ścianie. Związane na prędce włosy, były w takim nieładzie, jak jéj myśli; a nóżki, co nie dawno skrępowane nielitościwym trzewikiem, tak lekko biegały po ślizkiéj posadzce, teraz wyglądając ciekawie z pod kapy, chłodziły się roskosznie, porysowane w kratki od ściskającéj ich pończochy.

Ach! czemu was tam nie było wtedy Arnoldzie, Bonawenturo, Jacku, Mateuszu!

Ale ty młody poeto! szlachetny Euzebi, nie idź tam, nie przerywaj marzeń biédnéj Anieli.

Uciekaj nim cię oddech zatruty owionie,
Jeśli nie chcesz kląć reszty twojego żywota.

W takiém położeniu Aniela myślała długo; nareszcie jéj piękne czoło zaczęło zachmurzać się i zwiastowało burzę. Upuściła pomału rękę, zmarszczyła brwi, westchnęła i jak gdyby zrobiła stanowcze jakie postanowienie, obróciła się szybko do ściany i zasnęła.

Spij boginio niewinności i cnoty! Niech cię aniołowie na skrzydłach swoich kołyszą. Ja twój przyjaciel i najniższy sługa, zamiast życzenia ci dobréj nocy, pożegnam cię dwoma życzeniami: Jeżeli masz duszę słabą i chcesz paść ofiarą ludzi bez serca ciągnących na losy, twoje szczęście, śpij i nie budź się nigdy. Lecz jeżeli masz dosyć energji i siły do oparcia się spekulacjom przedajności, osobistych widoków, próżności, dumy lub głupstwa,

wstań w opromieniającéj cię chwale przyszłego szczęścia i ufaj w Bogu; a Bóg ci dopomoże.

I Aniela wstała.

— Coż to za tęgi chłopiec ten Jacek; rzekł Pułkownik wchodząc do salonu, gdzie domowi zebrali się na herbatę.

Aniela podniosła oczy i z podziwieniem spójrzała na stryja.

— Bo to i do wypitéj i do wybitéj, ciągnął daléj Pułkownik, jabym więcéj na jego jednego liczył jak na stu tamtych oblizanych paniczów.

— Tak, gdzieby szło o pokonanie niedźwiedzia rzekła złośliwie Aniela.

— Nie tylko niedźwiedziowi, ale i sarneczce dałby radę, — odrzekł ura-

żony Pułkownik i z niedowierzaniem spójrzał na Anielę — „a z tą zwierzynką trudniejsza sprawa jak z niedźwiedziem.

— Przyjemny człowiek, — rzekł Prezes, ale nie wszędzie, nie dla wszystkich i nie zawsze.

— A gdzież ty znajdziesz człowieka, którenby wszędzie, ze wszystkimi i zawsze był jednakowym? zawołał Pan Pułkownik.

Człowiek dobrze urodzony i pięknie wychowany wszystkim się podobać może, jeśli z przymiotami umysłu łączy przymioty serca: rzekła Prezesowa.

— E! moja bratowo! Wszyscy się jednakowo rodzimy, proszę zapytać jakiegokolwiek doktora, a źle czy dobrze, o tém wié tylko matka. Być pięknie wychowanym to znaczy umieć zgrabnie się ukłonić, niedbale wywrócić się w fotelu, paplać trochę po francuzku, mieć

frak gładko zrobiony i rękawiczki z guziczkami; a przymioty umysłu i serca stare to dzieje, które dziś różnie, różnym brzmią w uszach. Jednemu brzęczą, drugiemu dźwięczą i sam diabeł teraz ludziom nie dogodzi.

Nastąpiło milczenie. Trudno było zrobić jaką antithesis na tak logiczne dowodzenie Pułkownika. Prezes z chlubą spójrzał na brata, któren przecież nie darmo nosił głowę na karku; Prezesowa czuła się zwyciężoną, a może na prędce nie miała co odpowiedzieć i złożyła na oparzenie się herbatą. Panna Aniela i Panna Agata zdawały się w połowie podzielać zdanie Pułkownika; miały coś jednak do zarzucenia, ale nie chciały się odzywać.

Z kolei zaczęto mówić o Farfadowskim. Cóż mieli lepszego robić?

— Ach! jaki nieznośny — odezwała się ciocia Agata.

— Co to za Farfadowski? zapytał Pułkownik. Bardzo mi podejrzane szlachectwo. Jakie nazwisko!

— O! co do szlachectwa i pochodzenia nie można mu nic zarzucić. Przerwała Panna Agata. Pamiętam, mój nieboszczyk ojciec mówił mi często o Farfadowskich, którzy wielkie urzędy piastowali na Litwie i w Koronie, a skoligaceni z najznaczniejszemi rodzinami; ale co to komu doda albo ujmie? Za to sam taki nieprzyjemny, trzpiot, lekkomyślny; wszystkie dobra swoje wypuścił w possessję i nigdy do nich ani zajrzy. Nię lubię czemuś tego człowieka.

— Kto tam widział jego majątek! powiedział Prezes z pogardą.

— A! ma! — rzekła Panna Agata tonem pewności — moja ciotka znała jego rodziców.

— Muszę zobaczyć w Niesieckim al-

bo w Paprockim, rzekła Prezesowa, czy też tam są Farfadowscy.

Panna Agata zbladła. Szczęście że nie było herbarzów w bibliotece Pana Prezesa.

Jednego wieczora, Pani Prezesowa siedziała sama w swoim pokoju, bębniąc w stół palcami, jak zwykła była robić kiedy co ważnego zamyślała. Zażyła tabakę, zadzwoniła. Służąca weszła. Prezesowa kazała prosić Anielę.

— *Mon enfant* ! rzekła Pani Prezesowa — bądź ze mną śmiało i otwarcie jak z matką.

Aniela zadrżała. To były zwykłe *preludja* do zdzierania tajemnéj zasłony z myśli i uczuć Anieli.

— Ja, będąc twoją matką, rzekła daléj Prezesowa, — chciałabym być razem twoją przyjaciółką, powiernicą. Szczęście twoje moje dziécię, jest jedynym celem, do którego wszystkie my-

śli moje, życzenia, modlitwy zmierzają.

Nie było się z czém chwalić. Pani Prezesowa nie powiedziała nic nowego dla prawdziwie dobréj i czułéj matki.

— Ale wymagam otwartości, — otwartości zupełnéj i zaufania bez granic, moja duszo.

Nie wiedziała Pani Prezesowa że to już było za poźno, jeżeli dotąd nie posiadała zaufania córki.

— Powiedz mi szczérze — nie wstydź się — czy poszłabyś za mąż gdyby jaki przystojny, dobrze wychowany, znacznego pochodzenia i majętny młody człowiek starał się o twoją rękę?

Aniela spuściła na dół oczy.

Któraż Panna nie spuszcza na dół oczów kiedy rzecz idzie o małżeństwo albo o miłość? Cierpieć nie mogę takich panien co śmiało patrzą, mówiąc o miłości lub o wyjściu za mąż. To naj-

pierwszy dowód złego wychowania i brak skromności.

Ale Aniela była — dobrze wychowana i skromna dziewczyna. Nie tylko więc spójrzała na ziemię ale zarumieniła się.

— Odpowiedzże mi rzekla Prezesowa.

— Dla czegoż nie? kochana Mamo, gdyby mi się podobał i gdybym mogła być z nim szczęśliwą.

— Szczęście, moja duszo, — rzekła poważnie Prezesowa, zaczynając od *piano*, a potém idąc *crescendo*, — może być ocenionem i przewidzianem tylko przez osoby w wieku, doświadczone i znające się na ludziach. Te słowa wymawiała z przyciskiem, zatrzymując się na każdéj przedostatniéj zgłosce. Ty jeszcze o szczęściu rozumować nie umiesz i nie powinnaś. Wy, młode, zapalone głowy, tworzycie sobie zawsze ja-

kiś fantastyczny urojony obraz szczęścia, któren w rzeczywistości, nigdy istnieć nie może. Czas już w twoim wieku zastanowić się nad sobą i zacząć myśleć rozsądnie.

Aniela stłumiła westchnienie, które wyrywało się gwałtownie z jéj piersi. *On* w całym blasku stanął jéj w oczach. Po chwili rzekła ze smutkiem.

— Mamo! ja dotąd nie znam nikogo, z którymbym odważyć się mogła podzielać życie.

— Nie znasz? zapytała z gniewem Prezesowa, nie znasz? a któryżby to z śmiertelnych był tak szczęśliwym żeby twój wybór padł na niego?

— Nikt — odpowiedziała śmiało Aniela.

— Jakto!... nikt?... nikt?... zawołała matka hamując gniew swój, nikt?... Wysokie masz o sobie wyobrażenie.

— Dotąd nikt Mamo.

— Dotąd nikt — rzekła ironicznie Prezesowa, a kiedyż?

Aniela milczała. Matka ze złością przewracała w ręku tabakierkę, wywróciła szklankę stojącą z wodą na stole; w kilka minut rzekła łagodnie:

— Ja znam, dziécię moje takiego, któren jest w stanie zrobić cię szczęśliwą. Młody, dobrze wychowany, ma imie, tytuł i będzie miał znaczny majątek.

Aniela z bojaźnią spójrzała na mątkę.

— Hrabia Arnold Mężnicki prosił mię o twoją rękę.

Mamo! — rzekła w rozpaczy Anielka — wolałabym z kim innym umrzeć, jak.....

Łzy nie dały jéj skończyć. Pani Prezesowa nie była w stanie nic na to odpowiedzieć. Nie spodziewała się usłyszeć tak stanowcze słowa od córki. Z pogardą spójrzała na nią i zdawała się

zajętą obmyślaniem planu do uskutecznienia swego zamiaru.

— Czy zastanowiłaś się dobrze nad tém coś powiedziała?

Mamo! — zawołała Aniela, padając do nóg Prezesowéj. Ja nie byłabym w stanie uszczęśliwić Pana Mężnickiego, ani z nim być szczęśliwą. Ja nie chcę iść za mąż. Ja zostanę przy Mamie, a jeżeli mię Bóg powoła do odmiany stanu, niech Rodzice zostawią mnie saméj wybór dozgonnego towarzysza.

—Nierozsądna dziewczyno! rzekła, śpiewającym tonem Pani Prezesowa. Myśliszże iż Rodzice tak mało dbają o los swéj córki aby przystali tak łatwo na twoje niedorzeczne żądania?

Aniela płakała. Nie rozumiała jeszcze biedna, co to litość i przywiązanie rodzicielskie.

Nastąpiło przykre milczenie. Anie-

la nieśmiała podnieść oczu ani Prezesowa spójrzeć na córkę.

Jak piękna była wtedy Aniela! Dwie duże łzy wisiały na jéj rzęsach, jak na gałęziach wierzby krople deszczu, po dopiéro co ucichłéj burzy i nawalnicy. Nosek jéj poczerwieniał, pokryty od końca mocniejszą farbą ustępującą daléj w coraz bledsze cienie; usta na pół otwarte i obrzękłe szeptały jakieś nie zrozumiałe słowa; zmarszczone czoło złączyło brwi które czarnym sznureczkiem oplatały powieki, a ręce pomimowolnie igrały z frenzelką spadającej na kolana pelerynki. Nie wiem co byłaby dała za to gdyby jaki wypadek przerwał był ich położenie.

Ale nikt nie przychodził. Tylko natrętne pieski bawiły się u nóg Anieli i szarpały ją za suknię, jakby chcąc ją pocieszyć i przerwać jéj smutek.

Nareszcie matka nabrawszy odwagi, spójrzała na córkę.

— Możesz być pewną, moja Anielciu, że niczego tak nie pragnę jak twojego szczęścia; ale pomyśl dobrze nad tém com ci powiedziała— i sama wyszła z pokoju.

Aniela nie miała potrzeby myśleć *nad tém co jéj matka powiedziała*, ale miała wiele do myślenia.

Chciano ją zrobić gwałtem hrabiną.

W kilka dni potém w pokoju pana Prezesa była *wielka rada familijna.*

Czy byłeś kiedy, kochany czytelniku, na *radzie familijnéj*, gdzie ważą się losy panny na wydaniu? Jeżeliś nie był, żałuj; a jeśli jesteś tak starym, że byłeś na Kongressie wiedeńskim i pamiętasz dobrze, to będziesz miał wyobrażenie o radzie familijnéj.

Co to za uroczyste posiedzienie!

Na środku stał stół; na stole zamiast

zwierciadła sprawiedliwości, *szczoty*, wielki kałamarz i postument w kształcie arfy na cygara; w miejscu kodexu inwentarze i regestra gospodarskie; za stołem krzesło, z wysokiém poręczem, obite łosiową skórą, na niém siedział pan Prezes z dyplomatyczną miną, w białéj chustce i cmokając ustami. Po prawéj stronie, na krześle z niższem poręczem i obitem baranią skórą wyprawioną na safjan, zajęła miejsce godna małżonka pana Prezydenta. Po lewéj Pułkownik, z fajką w zębach, jednym łokciem oparty na kolenie a drugą ręką w boki. Na przeciwko pana Prezesa siedziała Ciocia Agunia z biegającemi oczkami, trzymając obydwie ręce na piersiach.

— Mojém zdaniem, — zabrał z powagą głos pan Prezydent — Anielę uszczęśliwić może tylko taki człowiek, któren z dobrocią serca, uczciwością

charakteru, łagodnością temperamentu, łączy rozsądek naturalny, praktyczny rozum, obywatelskie cnoty i majątek.—

—W dzisiejszym wieku, nie dosyć— przerwała Prezesowa poprawiając się na krześle.

— Za pozwoleniem. To są najgłówniejsze warunki,—rzekł daléj pan Prezes — potrzebne mężczyznie do własnego szczęścia i do uszczęśliwienia kobiéty, którą sobie za towarzyszkę obiera. To są przymioty, które chciałbym widzieć w moim przyszłym zięciu.—

— Ależ w dzisiejszym wieku....— rzekła zniecierpliwiona Prezesowa.

— Za pozwoleniem, proszę mi nie przeszkadzać. Bez tych przymiotów, które są najpewniejszą rękojmią prawdziwego szczęścia wszystkie inne powierzchowne zalety są znikome i popłacają tylko w świecie zepsutym.—

— Zgoda! — ozwał się basem Pul-

kownik, puszczając na stół kłąb dymu, —a któż zaręczy......

—Za pozwoleniem. W dzisiejszym wieku, w oczach rozumnego człowieka świetne pochodzenie lub sławne imie, tyle znaczy co w ręku stolarza spróchniała deska ze starego drzewa, pod którém spoczywał jaki wielki bohatér.—

— Pozwól, ja to jaśniéj wytłumaczę, —rzekł prędko Pułkownik—ci co chcą wynosić się ze swych przodków, a sami osobistych zasług nie mają, podobni są do kartofli z któréj ta część tylko ma swoją wartość, co w ziemi leży; ale ja w to wierzę łepiéj jak w *credo* że młodą dziewczynę, tylko młody chłopiec może uszczęśliwić.—

—Przyjemnie to wprawdzie, —mówił daléj pan Prezes,—liczyć w rodzie swoim takich przodków, którzy odznaczyli się w usługach dla kraju i godnie wypłacili dług społeczeństwu. Szczęśli-

wą może się nazwać ta kobiéta, która w swoim narzeczonym widzi wszystko czego czułe serce, ukształcony umysł, położenie w towarzystwie i przywidzenia świata wymagać po nim mogą. Ale te wszystkie warunki razem w jednéj osobie znaleźć bardzo trudno. A jeżeli są tacy, co łączą w sobie świetne imie, rozum, cnoty, dowcip, dobroć z majątkiem i dobrém wychowaniem takich fenixów nie wiele. Tak zawsze było i będzie. U nas mniéj jak gdzie indziéj można tego żądać. Kilkowiekowe klęski i wypadki polityczne zmniejszyły znacznie liczbę starożytnych rodzin; jedne familje upadły, drugie wzniosły się pracą i zdolnościami, dla tego nie mniéj są godne szacunku u ludzi. Bieg wychowania dotąd przerywany był okolicznościami stającemi na drodze powszechnego oświecenia; cała postać rzeczy zmieniła się i dziś z innego zupełnie

stanowiska patrzeć powinniśmy na ludzi, na społeczne stosunki i na sposoby zawierania onych. Między wychowaniem a wychowaniem może jeszcze wielka różnica zachodzić; równie też jak między rozumem a rozumem. Jest to nie małe zadanie do rozwiązania: czy ten rozumniejszy, co ma prawdziwie gruntowne i obszerne wiadomości i trzyma je ukrytę na dnie, nie dla wszystkich widome ciągnąc z nich korzyści, czyli ten któren liznąwszy wszystkiego po trochę umie na każdym kroku, każdego zadziwić swoją mniemaną erudycją. A zastanowiwszy się ściśle nad życiem naszém, zawołamy z Kochanowskim: Cnota treścią człowieka a reszta przypadkiem. —

Zatrzymał się, utarł nosa i uderzył w stół pięścią na znak że skończył.

Wszyscy języka w gębie zapomnieli

Pan Prezes mówił tak rozsądnie, tak dobitnie!

Pani Prezesowa z niedowierzaniem spójrzała na męża, posądzając go, że musiał tę *mowę* gdzieś w książce wyczytać. Nie spodziewała się nawęt, żeby kiedykolwiek czytał Kochanowskiego albo słyszał o nim. Ja wam mówiłem że Prezes był rozsądny człowiek.

Nakoniec odezwał się Pułkownik.

— A na czemże to cnotę zasadzasz mój braciszku? już też spodziewam się nie na karbowańcach? —

— Pieniądze są środkiem do cnoty — rzekł Prezes.

— Więc bez pieniędzy nie można być cnotliwym.—

— Cnotliwym, może być żebrak, ale żeby być dobroczynnym do tego potrzeba mieć materjalne sposoby.—

—A co to znaczy być dobroczynnym, jeżeli łaska?—

— Wspierać ubogich, pomagać po-

trzebującym, nie zapominać o chwale Pana Boga — podchwyciła Panna Agata.

— To jest dać obiad dla żebraków w dzień zaduszny, rozdać na Wielkanoc pół rubelka na schodach przy kościele i wyszyć poduszkę na ołtarz — rzekł Pułkownik.

— Dobroczynnym każdy być może w miarę swojéj możności — rzekła Prezesowa.

— Zatém można być dobroczynnym nie mając ani grosza — odpowiedział Pułkownik.

— Ale bez pięniędzy nie można mieć tyle zręczności do dobrych uczynków, — rzekł Prezes — dobre uczynki radzą samozadowolnienie, a samozadowolnienie przyczynia się wiele do szczęścia.

— Słyszałem nie raz o tém na kazaniu; ale powiedz mi mój bracie czy wielu znajdziesz dobroczynnych bogaczów? Ja sam znałem jednego bogatego

skąpca któren był tak nabożnym że umierającemu z głodu żebrakowi nie dałby trzech groszy bojąc się sprzeciwić Bogu, który podług jego przekonania, wskazał nieszczęśliwego na nędzę i cierpienia. Dobra to rzecz pieniądze ale kto ich nie ma może się bez nich obejść.—

— Zapewne że się może obejść; — zawołał Prezes — wieluż to ludzi obchodzi się bez pieniędzy, ale troskliwi rodzice nie powinni narażać córkę na tę konieczność obchodzenia się. —

— Anielcia będzie bogata, — rzekł Pułkownik.

— To nie dosyć.—

— Więc chcesz jéj dać koniecznie bogatego męża? —

— Prosił mię o jéj rękę bogaty......

— I mnie się oświadczył o Anielcię przerwała Pani Prezesowa, — będzie bardzo bogaty po śmierci stryja.—

— Kto? Mężnicki? — zapytał Prezes marszcząc długie brwi.

— Hrabia Arnold Mężnicki.—

— Ehe he! Kiedy to będzie! Po najdłuższém życiu, najukochańszego stryjaszka. Pan Mateusz Kapuściński człowiek pięknego majątku, z *táktem*, będzie najlepszym mężem dla Anielki.—

Oczywiście, że pan Kapuściński był ideałem męża w oczach pana Prezesa.

— Ach! zawsze z tym Kapuścinskim wyjeżdżasz,—krzyknęła z gniewem pani Prezesowa — to gbur, nieokrzesany i Bóg wie kto.—

— To gbur, sknera, dusigrosz a tamten fafinek, mazgaj, świszczypałka; — zawołał pan Pułkownik — ja was proszę, zostawcie wybór Anielce i ręczę, że ze wszystkich wybierze Jacka Szumiłłę. To tęgi człowiek! milljon szwadronów djabłów! Zdrów mężczyzna, silnie zbudowany,... przystojny, bestja,...

gęba wyparzona,... wyszczekany ... i wcale nie głupi. A że nie bogaty.... Aniela ma znaczny posag.

— Gdzież ewikcję zapisze? — zapytał Prezes.

— Co ewikcję? na honorze którego znaki nosi na czole.—

— Może z konia zleciał i o kamień rozwalił sobie głowę z któréj co było to uciekło nie mając się gdzie pomieścić, — rzekła dowcipna Panna Agata.—

— Zmiłujcież się nie wspominajcie mi nawet o tym Szumille — zawołała Prezesowa.

— Ależ bratowo, nie zapominaj że tu rzecz idzie nie o wydanie ciebie za mąż ale o wydanie Anielki.—

— Tém bardziéj. Jabym wolała żeby mój mąż podobnym był do Szumiłły ale nie zięć.—

— Co za egoizm! — rzekł śmiejac się Pułkownik.

— Myli się pan Pułkownik,— rzekła smutnie panna Agata, która pod chustką szczypała się , żeby raka upiec, — Aniela nie wyszłaby za pana Szumiłłę; Anielcia kim innym zajęta.—

— Kim ? — odezwały się trzy głosy, i sześć ocz zwróciło się na Pannę Agatę.

— Ja co ją kocham nad wszystko na świecie, starałam się ją zrozumieć i poznać jéj sposób myślenia i ledwo po wielu trudnościach doszłam do tego że potrafiłam nakoniec zgłębić jéj serce, bo Aniela jest skrytą i tai się ze swoją miłością, chciałaby ją nawet sama przed sobą ukryć ; ale śledziłam ją bacznie i nic nie uszło mego troskliwego oka. Dostrzegłam że Aniela kocha się zapamiętale i trudno jéj będzie wyperswadować tę miłość....

W kim?—wypadły znowu trzy głosy z trzech ust rozwartych ciągle i obróconych w stronę Panny Agaty.

— W Bonawenturze Farfadowskim, — rzekła wzdychając Panna Agata.

Pani Prezesowa zaperzyła się, pan Prezes zbładł, a pan Pułkownik zaciagnął się mocniéj tytoniem.

Panna Agata oddawna już pracowała nad Anielą starając się w nią wmówić, z całą właściwą sobie przebiegłością że jéj wymarzony *on* jest pan Farfadowski.

— To być nie może! — zawołał Prezes w uniesieniu, — ja na to nie pozwolę; jakiś tam Farfadowski! nikt go nie zna a majątek djabli mają. Aniela musi zostać Kapuścińską.—

— A ja ci mówię, że Aniela musi zostać Hrabiną Mężnicką. Moja córka godna nosić tytuł Hrabiny a ten związek będzie zgodnym z jéj sercem. Agunia myli się. Anielcia kocha Hrabiego Arnolda; już mi się przyznała i padłszy mi do nóg, prosiła: ażebyśmy ją nie

zmuszali nigdy wyjść za tego, którego nie kocha. Ja więc staję w jéj obronie i proszę was mężu, bracie, siostro, proszę was imieniem matki nie mieszajcie się do losu Anielki, zostawcie wybór jéj saméj. Jabym nie przeżyła jéj nieszczęścia, gdybym ją widziała złączoną z człowiekiem do którego niéma przywiązania. Arnold prawdziwie kocha Anielę i miał już nawet od niéj małe dowody wzajemności. Co to za śliczna będzie para Arnold i Aniela. Ach! jakżem szczęśliwa. *C'est convenu*; Anielka zostanie Hrabiną, moja córka Hrabiną Arnoldową Mężnicką! Będą się kochali jak gołąbki. Poradźcie mi tylko, jak będziemy daléj rzecz prowadzić żeby zapewnić się że Hrabia Mężnicki zapisze Anieli część majątku, którą ma odziedziczyć po stryju. Trzebaby wezwać jakiego biegłego jurystę; chociaż jestem pewną, że on wszystko dla niéj zrobić

gotów. Nie wspominajcie tylko nic o tém Anieli, proszę was, ani wzmianki o Arnołdzie bo to ją *żenuje*. Nie dajcie nawet tego poznać, że wiecie iż Aniela zajęta Hrabią Mężnickim.—

Panna Agata kiwała głową, Prezesowa chciała wyjść.

— Majątek pana Mężnickiego, są to na wierzbie gruszki, moje serce, a pan Kapuściński może dziesięć takich tytułów kupić jaki ma pan Arnol. Aniela wyjdzie za Kapuścińskiego...— Tu panna Agata znowu kiwnęła głową, a pan Pułkownik mrugnął wąsami.—To człowiek osiadły, skończony a na przyszłe wybory mają go obrać deputatem sądu głównego.—

Kochanku nie sprzeczaj się, — rzekła łagodnie pani Prezesowa — Matki najlepiéj wiedzą co stanowi szczęście ich córek.—

— Ja tak chcę! — zawołał stanow-

czym głosem pan Prezes, stuknął drzwiami i wyszedł.

Wyrok zapadł na Anielę.

Aniela widziała że przyszła na nią pora kiedy miała pożegnać się z swobodą, myślami kwiatkami, książkami, ulubionym pokoikiem; że miała zostać mężatką, panią, gospodynią. Może nikt jeszcze w jéj wieku nie myślał mniéj o małżeństwie jak ona; nie znając dotąd nikogo którenby się jéj podobał, z całą szczérością wyznała przed matką że nikt nie był godzien jéj ręki. Kochając niezmiennie *jego* była szczęśliwą i zdawało się jéj że tak mogłaby marzéć, marzéć całe życie, wieki. Zapomniała że była na ziemi! I nic dziwnego, bo w swojéj wyobraźni stworzyła niebo i istotę którą uwielbiała, ubóstwiała. Nie wierzyła w to że niéma szczęścia na ziemi; litowała się nad tymi którzy z własnéj woli obrywali listek po listku najpięk-

niejszych, najroskoszniejszych illuzji, któremi młodociany umysł barwi gałąź życia. Przekonaną była że próżno szukałaby szczęścia około siebie, w świecie zewnętrznym gdyby go nie znalazła w sobie. Nic ją rozczarować nie mogło. Zastanawiając się nad sobą, przebiegając myślą zdarzenia z rzeczywistego życia o których słyszała, czytała, ze smutkiem widziała czasem marzenia swoje ulatujące w kształcie lekkiéj pary i z żalem przewidywała że jéj idealne szczęście zamknięte tylko w kruchéj lepiance która z czasem miała zblakować, pokryć się łodem, nachylić; w walącém się mieszkaniu możc także stracić barwę, ostygnąć, skrzepnąć, zniknąć; ale na to umiała sobie radzić Aniela. Wtedy udawała się do Boga, modliła się ze łzami, z ufnością w Najwyższéj-mocy i była pocieszoną; widziała swoje wymarzone szczęście zrealizowaném. Była szczęśliwą

w sobie, dla siebie, przez siebie. Może kto powié, że to był egoizm. Ależ my wszyscy czyż nie jesteśmy po większéj części egoistami w szukaniu szczęścia? Porachujmy się dobrze z sumieniem. Jeżeli szukamy szczęścia nie w nas samych ale zewnątrz i gonimy za tą marą po świecie, porywamy w naszym pędzie jak w *piekielnym walcu* wszystko, co spotkamy na drodze, ale nie niesiemy z sobą do celu do którego lecimy jak szaleni, tylko łamiemy, troszczymy, depczemy, myśląc tylko o tém aby nam dobrze było Aniela postępowała sama po ścieszce swego życia a jeżeliby kogo spotkała w swojéj wędrówce chciała się z nim zlać, spoić, zjednoczyć jak dwa ciała w których jest *chemiczne pokrewieństwo*. Tém chemiczném ciałem był dla niéj *on*. Jednak chociaż tak była zajęta sobą w swojém sercu i głowie jak w *laboratorjum*, nie zapominała że są

w koło niéj biedni, chorzy, kalecy, nieszczęśliwi. Cieszyła się kiedy niewidomie pomagać im mogła. W głębi duszy była spokojną, wesołą. Ale troskliwi rodzice z kolei marząc po swojemu, wymarzyli dla niéj inne szczęście. Niepokoiły Anielę szepty, narady, przymówki, żarty. Przewidywała że wielka burza gotowała się nad jéj głową, wielka rewolucja miała nastąpić w jéj duszy; że rodzice, stryj, ciotka, czynnie zajęci byli jéj losem o czém ona sama dotąd tak mało myślała, wiedziała że familijna rada zebrała się na to ażeby uchwalić komu należało oddać mirtowy wieniec z liczby *starających się kawalerów.* Tryumf miał odnieść ten któren miał silniejszego protektora.

Zajrzyjmy, czytelniku, do jéj pokoju w którym samotnie siedzi zatopiona w myślach, czekając z bijącém sercem rezultatu kongressu. Co też ona tam ro-

bi? Może ją zastaniemy rozciągnioną na łóżku, z wpadłemi oczami, z siniałemi ustami, bladą, bez życia. Biedna Aniela! musi się pożegnać z czarującémi snami. I na nią przyszła już koléj. Chcą wydrzeć jéj prawdziwe szczęście, a narzucić gwałtem téj niewinnéj duszy lalkę, fantom, szkielet szczęścia ubrany w brzęczące blaszki i w suknie arlekina. Chcą pozbyć się ją z domu!.... Może rozpacz zabiła tę nieszczęśliwą ofiarę zbytecznéj troskliwości!... Chodźmy zmówimy przynajmniéj *wieczny odpoczynek.*

Aniela leżała z twarzą zakrytą muślinową chusteczką. Jedna ręka spoczywała na piersi, druga bezwładnie zwieszona była nad podłogą. W przyległéj alkowie siedziała służąca i rzewnie płakała.

Aniela wylawszy wiele łez, które

jéj czułość rodzicielska wycisnęła przytłoczona ciężarem smutku zasnęła.

Cicho! nie budźmy jéj.

Tym czasem Panna Agata nie bojąc się pogróżek Pana Prezesa zajęła się doprowadzeniem do końca zaczętego dzieła. Nie przestając mówić jak najgorzéj o Panu Farfadowskim starała się wyobrazić Prezesowéj zręcznie, że Mężnicki był ubogim, grał w karty, używał złéj *reputacji*, a stryj jego jako stary kawaler miał bliższych sukcessorów, którzy prawnie dochodzili majątku i nosili nawet to samo nazwisko. Arnold zaś był nienawidzonym przez stryja za to, że długi robił na jego majątku w nadziei odziedziczenia po jego śmierci, któréj oczywiście pragnął. „Nie dobrze mówią o Arnoldzie" mówiła. Panna Agata, — „coś przebąkują o truciznie, to mię bardzo smuci." Wiedziała zaś wszystkie te szczegóły

od staréj klucznicy, która ze wszelką dokładnością powtórzyła wszystko Prezesowéj. Tak więc i klucznica miała wpływ na los Anieli!

Żeby zaś przychylić Prezesa na stronę Farfadowskiego, Panna Agata pisała sekretnie do swojéj przyjaciółki, która mieszkała w Litwie, prosząc ażeby jéj przysłała przez pocztę list podług kopji, którą przyłączyła.

List ten oddany był Pannie Agacie w obecności obojga Prezesostwa. Był następującéj treści.

„Nie dobra jesteś, kochana Aguniu!
„Tyle lat upłynęło od czasu naszego wi-
„dzenia się, a tęsknocie, która mię dręczy bez ciebie, nie chcesz ulżyć jedném „słówkiem, jedném zapewnieniem, że „mię moja Agunia zawsze kocha. Od „półtora roku prawie nic odbierałam „listów od ciebie; nie wiém co się z to„bą dzieje, czy jesteś zdrową, weso-

„łą? Jak się mają twoi kochani braterstwo i miła Anielka. Zapewne musi „już być słuszną panną. Sąsiad nasz, „któren powrócił z waszych stron mówił mi że ma wielu kawalerów i między innymi stara się o nią nasz ziomek Pan Bonawentura Farfadowski. „Jakżebym była szczęśliwą gdyby to „mogło dojść do skutku! Pan Farfadowski mieszka w naszych okolicach; powszechnie lubiony, ma bardzo znaczny majątek, któren wypuścił w dzierżawę, i do milljona kapitału na bankach. Ojciec jego często bywa w naszym domu latem, a zimą wyjeżdża „do miasta gdzie musi bawić dla urzędu, „ponieważ tych wyborów został guberskim Marszałkiem. Donieś mi, duszko, „czy to prawda i napisz mi niezwłocznie jak ci się powodzi. Adieu milenka.“

Twoja prawdziwa przyjaciółka
Kunegunda.

Lekając się zaś wpływu Pułkownika Ciocia Agunia, żeby usunąć wszelkie przeszkody do ułożonego zamężcia, w długiéj i zręcznéj mowie, przekonała go, że Aniela mogłaby umrzeć, gdyby była przymuszoną oddać rękę temu, którego nie kocha, że do szaleństwa zajętą była Panem Bonawenturą, dodając przytém.

„Chociaż ja, będąc na miejscu Anielki nigdybym nie wyszła za tego trzpiota, ale serce ma swoje prawa.“

Powtórzyła prócz tego całą historię o Mężnickim, a przy Prezesie napomknęła zgrabnie iż Pan Kapuściński wzniósł się stąd, że jego ojciec robił fałszywą monetę.

Pan Pułkownik, któren kochał Aniele, nie dla tego że była jego synowicą, ale że on był oficerem, a ona młodą i ładną z całego serca życzył jéj szczęścia.

„Ha! mówił do cioci Agaty. — „Panny mają czasem swoje osobliwsze wyskoki. Nikt z nas, tylko Anielcia będzie żoną Farfadowskiego. Ale mnie się zdaje że niéma tęższego chłopca na świecie jak Jacek Szumiłło.“

I Pan Jacek znalazł sobie pretektora!

Zachwiawszy Prezesowę, rozbroiwszy Pana Prezesa i ubezpieczywszy się ze strony Pułkownika, Panna Agata poszła szukać Anielę, która siedziała w altanie z książką w ręku od pół godziny na jednéj karcie otwartą.

— O czém tak myślisz, życie moje? — rzekła całując ją w czoło. Aniela machinalnie podniosła oczy na pół-martwe.

Uważam, że od kilku dni więcéj smutną jesteś jak zwykle; co ci jest mój aniołku, powiedz mi szczerze. Któż więcej może podzielać z tobą twoje cier-

pienia i przyjemności, twoje troski i radości, jeśli nie ja, co cię nad życie kocham.

Aniela czytała dopiéro fantastyczną powieść, w któréj coś było o diabłach. W rozognionéj wyobraźni zdawało się jéj że słyszy głos szatana; ale to była jéj ciotka.

— Ja nie wiem co mi jest ciociu; od kilku dni czuję się nie zdrową.

— O! filutko, nie chcesz mnie prawdy powiedzieć. I ja byłam młodą; znam ja chorobę twoją; ty jesteś nie zdrową, widzę to z twoich gorących policzków, bijących pulsów i zachmurzonego czoła, ale ja cię uzdrowić mogę.

— Nie, moja ciociu, nie znasz lekarstwa, któreby mnie uzdrowiło, a te co dla mnie gotujesz, więcéj mnie zaszkodzić może.

— To są zwyczajne symptomata słabości, które z kolei na ciebie przyszły,

moja droga; téj gorączce podlegają wszystkie osoby w twoim wieku. Jakiś przestrach, obawa, wahanie się miotają naprzemian młodém sercem, które mocniéj zaczyna bić, kiedy uczuje potrzebę kochania. Z liczby wielbicieli otaczających dziewczynę, ten jest najgodniejszym miłości któren odpowiada zupełnie uczuciom i marzeniom wypielęgnowanym przez umysł, dotąd jeszcze niczém niezajęty i niedoświadczony; a kiedy serce uczuje już w zarodku skłonność ku jednemu przedmiotowi, rozwaga przychodzi w pomoc. Bóg czuwa nad tym na kogo zsyła tę rozwagę, bo często błądzą ci którzy idą za popędem serca, nie radząc się rozsądku. Lecz jeśli kto zastanowi się nad uczuciami i w spełnieniu życzeń swoich, widzi własne szczęście i możność uszczęśliwienia drogich osób, ten bez wahania się może odsunąć ów pomimo-

wolny przestrach, któren zawsze towarzyszy w ważnych okolicznościach naszego życia.

Panna Agata mogłaby być doskonałym kaznodzieją!

— Ja nie mogę pojąć siebie kochana ciociu, zastanawiałam się nieraz nad sobą i dotąd nie mogę z pewnością powiedzieć czy ja go kocham.

To tak zawsze bywa, moja duszo, w początkach miłości — rzekła śmiejąc się Panna Agata, — ja to wiem z pewnością bo ja siedmnaście razy kochałam się.

— Siedmnaście razy?! zawołała przestraszona Aniela.

— Siedmnaście razy; — powtórzyła uradowana Panna Agata, i dla tego też nie poszłam za mąż.

— Dla tego? — zapytała Aniela.

— Dla tego.

— To i ja będę siedmnaście razy ko-

chać się! odpowiedziała Aniela.

Panna Agata zmieszała się i szukała sposobu, żeby naprawić swoje roztrzepanie.

— Ale ja nigdy nie myślałam wyjść za mąż: rzekła Panna Agata.

— To i ja nie pójdę za mąż.

Jesteś jeszcze nadto młodą, moje dziecko, ażebyś o tém mówić mogła. Ach! nie wiesz jak to smutno nie mieć przyjaciela, powiernika, towarzysza, drugiego siebie.

— Można mieć towarzyszkę, przyjaciółkę, powiernicę.

— Przed kilką dniami mówiłaś mi co innego.

Aniela milczała. Po kilku chwilach rzekła:

— Mnie się zdaje, że mnie Pan Farfadowski nie kocha, a co do mnie jestem pewną że ja go kochać nie mogę.

— I to ci się zdaje, moja droga.

Jeszcze go nie wiele znasz. On taki żywy, swawolny; ja sama przyznam ci się nie bardzo jego lubię, bo mi nieraz dokucza; potrzeba się z nim oswoić, ale poznawszy go dobrze, nie można nie kochać, nie uwielbiać.

Aniela zamyśliła się, Panna Agata odeszła i zbierała kwiatki, które z przymileniem założyła sobie za włosy. Kiedy wróciła, Aniela wstała i zbliżywszy się do niéj.

— Ciociu kochana, rzekła, ja Pana Farfadowskiego nie kocham i za nic w świecie nie wyjdę za niego.

Pana Agata schowała pod brwi oczy z podziwienia.

— Zastanów się Anielko! Pan Bóg z tobą. Odrzucasz dobrowolnie, szczęście, które ci się trafia i robisz tyle osób nieszczęśliwemi. Pan Farfadowski umrze z rozpaczy. Chciałaś ażebym Rodzicom oświadczyła twoją chęć od-

dania ręki Panu Bonawenturze. Twój ojciec zachoruje kiedy się o tém dowie bo go prawdziwie kocha. Mama chciałaby cię widzieć szczęśliwą również jak my wszyscy. Przyrzeczenie złamane. Twoje wahanie się nie przyniesie ci sławy. Pan Farfadowski czeka tylko twojego zezwolenia. Już wszystko skończone. Sama tego chciałaś; prosiłaś mię oto kiedym cię pytała. Hańba spada na twoich rodziców. Jakie ztąd domysły. Rodzice twoi nie przeżyją tego, niedocieczony twój charakter, nieufność zabiją ich bez czasu.

Łzy rzewne polały się z ócz biednéj Anieli która nie rozumiejąc prawie wszystkiego co ciotka mówiła, przerażona była więcéj jéj tonem tragicznym; a Panna Agata ślicznie umiała deklamować! Nie tracąc chwili.

— Zostawię cię samą, rzekła, *pomyśl dobrze nad tém* i weźmiéj Boga

na pomoc. Niech Stwórca zlituje się nad taką i oddali od ciebie chęć przyczynienia się do smutku, a może i śmierci najbliższych ci osób.

— Ciociu! — zawołała w rozpaczy Aniela, ja wszystko gotowa jestem poświęcić dla szczęścia rodziców.

Rodzice nie będą wymagać od ciebie poświęcenia się kosztem twojego własnego szczęścia. Jeżeli możesz bądź szczęśliwą.

— Będę, rzekła drżącym głosem Aniela.

Panna Agata uradowana, uściskawszy czule Anielę wróciła do domu. Mefistofiles ucieszył się że ma taką nieodrodną siostrzyczkę.

Stało się! Więc już masz zostać Panią Farfadowską, biedna Anielo! Panna Agata zwyciężyła! O gdybym był panną, a Pan Farfadowski zechciał się ze mną ożenić, z chęcią zastąpiłbym

twoje miejsce. Cóż robić! trzeba się poddać woli Agaty.

Aniela padła na kolana z rękami podniesionemi do góry, z oczami wzniesionemi w niebo. Boleść i nadzieja, determinacja i przestrach, poświęcenie się i rozpacz malowały się na twarzy Anieli. Cała jéj postac była nieruchoma, tylko myślą wzywała litości Najwyższego bo tu na ziemi, nikt nad nią nie litował się prócz mnie. Ręce jéj były wyciągnięte, rysy przybrały nadziemski wyraz i w tém zachwyceniu zdawała się samego Boga oglądać.

Mnie się zdaje że Aniela wtedy była najpiękniejszą. Piękniejszą jak na balu w białéj sukni z różowemi gierlandami, piękniejszą niż po balu, kiedy się chłodziła zamyślona, piękniejszą nawet jak w owym dniu kiedy ją mama wyłajała.

Wstała, usiadła na darniowéj ławeczce i wpadła w zamyślenie.

Prawdę mówiąc, było też o czém myśleć. Chciano ażeby Aniela została razem Mężnicką, Farfadowską, Kapuścińską. Polygamja!... To sprzeciwiało się idealnym zasadom Anieli, która nie pojmowała jak mogła jéj matka, chorować ze złości jeśli nie Mężnicki, umrzeć z rozpaczy jeśli nie Farfadowski będzie jéj zięciem. Nie tajną jéj była chęć ojca przetopienia wdzięków i serca córki na srebro i złoto Pana Kapuścińskiego. Teraz; taka zmiana!... Panna Agata powiedziała że trzeba poświęcenia się dla Rodziców, że to stanowi ich szczęście. — Aniela nie chciała, nie śmiała badać. Wierzyła ciotce, bo Panna Agata była w wieku, doświadczona, słynęła z dobroci, jak każda ciocia jéj lat i w jéj stanie i kochała Anielę *nad życie*. Możnaż było

nie wierzyć? Ale Aniela kochała *jego*, a tu trzeba było oddać rękę Panu Farfadowskiemu, któren, jak ziemia do nieba tak nie był podobnym do *niego*. Panna Agata starała się różnymi sposobami przekonać Anielę, że Farfadowski wielki człowiek niepospolity, oryginalny, że wielkie cnoty, olbrzymie zdolności, nadzwyczajne chęci, Voltairowski rozum ukryte są pod tą maską skromności. Aniela z początku zdawała się temu wierzyć ale tylko z przyzwyczajenia, a potém pomyślała sobie że jéj ciocia ze starości niedowidza i Pan Farfadowski przedstawia się jéj w inném świetle. Z początku uczuła była nawet jakiś rodzaj sympatji, która zawsze rodzi się w młodych panienkach do trzpiotów w owéj epoce życia kiedy serce czuje pragnienie kochania. Lecz towarzystwo Pana Bonawentury nie mogło przynieść żadnego pokarmu dla du-

szy Anieli i stało się dla niéj z początku ckliwą, potém nudną, a nakoniec nieznośną potrawą. Uczucie lekkiéj sympatji zamieniło się bardzo łatwo w wstręt, a następnie w nienawiść.

Panna Agata upewniła Anielę że niezachwianą wolą rodziców było, wydać ją za Pana Farfadowskiego, że Prezesowa pierwéj więcéj sprzyjała Hrabiemu Mężnickiemu, ale dowiedziawszy się iż Pan Arnold szukał majątku, a sam go nie miał, przekonawszy się że Pan Farfadowski, nie powodowany żadnym interessem prawdziwie był zajętym Anielą z zupełną życzliwością przychyliła się na stronę Pana Bonawentury.

Powiedziałem wam że Aniela była w stanie zginąć na stosie gorejącym, a cóż dopiéro poświęcić życie dla rodziców! Zrobiła więc stałe postanowienie oddać rękę Panu Farfadowskiemu.

Pan Bonawentura uszczęśliwiony, dowiedziawszy się o wszystkiem od cioci Aguni, coraz częściéj zaczął bywać w domu Prezesostwa i coraz bliżéj zaczął się przysuwać do Panny Anieli. Czekał tylko żeby trafić na dobry humor swojéj ubóstwianéj i oświadczyć się. Ale dobry humor nie przychodził, a Pan Farfadowski odwlekał od dnia do dnia i nie mógł się zdobyć na odwagę. Może prawdziwie kochał bo słyszałem najśmielsi nawet, co nie lękają się przy piérwszem spotkaniu uściskać ładną kobiétkę, która wpadła w oko, drżą z przestrachu, jak młody żołnierz przed piérwszą bitwą, kiedy nie zartem mają się wykryć z miłością. Podobniéj jednak że mu Panna Agata tak doradziła zasadzając się na pewnych swoich bardzo subtelnych, ministerjalnych przyczynach. Jak to dobrze mieć ciocię za protektorkę!

Tym czasem Aniela zawiodła skrycie nadzieje Panny Agaty, która była pewną że jéj siostrzenica z czasem poweźmie namiętną miłość ku Panu Farfadowskiemu i dobrowolnie, z własnego przekonania, wyjdzie za niego usprawiedliwiając sama niewinny podstęp troskliwéj ciotki. Zamiast przyzwyczajenia się do Pana Bonawentury nabierała ku niemu coraz większego wstrętu. Głos zdradzonego kochanka prześladował ją wszędzie *i ze snu ją nawet budził*. Widziała go z roztrzepanemi włosami, błędnym wzrokiem, z listkiem na czole, z rozkrwawioną piersią; widziała go jak na nią *ciskał okiem jadowitéj żmii*, drżała, czuła się występną, wiarolomną..... chciała rzucić wszystko, zapomnieć o wszystkiem, uciec od świata i ludzi, żyć tylko w *nim*, dla *niego* przez *niego*, w samotnéj pustelniczéj chatce, pokrytéj mchem, gałęziami.....

za posłanie mieć kamień, za kołdrę korę, za poduszkę ramie najdroższego, za pokarm leśne jagody i dzikie owoce, za napój sok brzozowy, za sąsiadkę sarneczkę..........

Już miała rzucić się w *jego* objęcia, już miała nas opuścić na zawsze, gdy z przeciwnéj strony usłyszała głos powinności, dziecinnego posłuszeństwa, głos rozgniewanéj matki, rozpaczającego ojca, płaczącego Pana Bonawentury, wściekającéj się ze złości Panny Agaty..... i zatrzymała się.

Nakoniec w najsilniejszym paroxyzmie rzekła sama do siebie:

— Pójdę za kogokolwiek. Piérwszy lepszy. Pójdę za Farfadowskiego.—

To była *crisis.* Jest to najwyższy szczebel panieńskiéj rozpaczy. Kiedy nadzieje któréj z dziewcząt zawiedzione zostaną, kiedy kochanek ją zdradzi, kiedy rodzice sprzeciwiają się

wyborowi córki, kiedy przez jakikolwiek wypadek przestanie kochać się i nie spodziéwa się więcéj znaleźć nikogo godnego jéj miłości, kiedy nie może się w nikim, w żaden sposób zakochać, kiedy ma wielu starających się o siebie a żaden się jéj nie podoba, albo kiedy nie ma ani jednego kawalera chociaż go z upragnieniem wygląda, w każdym z tych razów, panna wpada w najokropniejszą rozpacz i woła: „Niech tak będzie! pójdę za mąż — za piérwszego lepszego któren mi się trafi.“

Jest to najlepszy dowód, jak to kobiéty kochać umieją! Proszę się nie śmiać. Ja nie żartuję. My mężczyzni powinniśmy się wstydzić, czerwienić po uszy. Co to za stałość w takiéj kobiécie! co to za moc charakteru! jaka szlachetna zemsta! co za poświęcenie się! jak przykładne poddanie się woli Najwyższego! nareszcie mówiąc między

nami, jakie niewinne *zakpienie* z rodziców: „Nie pozwoliliście mnie pójść za tego którego kocham, to ja sobie wybiorę kogokolwiek, któren mi się zdarzy."

O! my tego nie dokażemy!... Mężczyzna z natury słabszy od kobiety, ja zawsze to utrzymuję, niech sobie kto mówi co chce. Mężczyzna w rozpaczy, w złości, w szaleństwie zamknie się w swoim pokoju, napisze parę listów, weźmie proch, kule, pistolet i w łeb sobie strzeli. Cóż to za wielka rzecz! W jednéj chwili bez żadnego cierpienia zakończyć życie.

Ale konać długą, powolną, męczącą śmiercią; konać przez całe godziny, dnie, lata; złączyć się na całe życie z takim, w którego oczy straszniéj spójrzeć jak w gardło nabitego pistoletu; spijać jego pocałunki, które więcéj mają w sobie goryczy, jak najjadowitsza tru-

cizna; dotykać się jego ręki, twarzy, ciała, które zimniejsze niż lodowate wody przepaścistych głębin; znosić jego uścisnienia, które więcéj duszą jak szorstki powróz szubienicy; słyszeć co chwiła jego słowa, które przeraźliwiéj w uszach dźwięczą, jak pogrzebowe dzwony cmentarza; o! to miljon razy straszniéj jak umrzeć.

Do takich długich, dobrowolnych męczarni tylko kobiety są zdolne.

Biédne kobiety są tak opuszczone że gdyby znalazła się która, coby wolała sobie od razu życie odebrać w nieszczęśliwych epochach miłości, niż poświęcić się tak długim męczarniom, gdyby chciała umrzeć, nie mogłaby, nie potrafiła. Z palną bronią nie umie się obejść, do stawu przykro schodzić i zimna woda, powiesić się wstyd, a do apteki daleko i trucizny nie wydadzą bez recepty.

Aniela jednak zawsze umiała sobie

radzić w trudnych razach. Nic nie przedsiębrała i nie uskuteczniała bez głębokiego poprzedniczego zastanowienia się.

— Jeżeli mam zostać żoną Farfadowskiego — myślała sobie — to on zaraz po przyrzeczeniu będzie mię nazywał *ty*.... będzie mię nieustannie całował w ręce... a po zaręczynach zechce żebym ja jego pocałowała....— Aniela wzdrygnęła się — „na kilka dni przed ślubem, będzie mię obejmował i kłuł swoją nieznośną brodą.... w dzień ślubu będę musiała być z nim grzecznie i czule.... czule ?....“ Aniela pokręciła główką—„trzeba!... coby powiedzieli!... więc muszę być obłudną!... potém paść do nóg rodzicom.... prosić ich żeby błogosławili mnie i Bonawenturę.... mnie i Bonawenturę.... Bon-a-wen-tu-rę.... żeby nas.... nas!!... błogosławili.... czy szczérze będę ich prosić ? “ — westchnęła — „możebym chciała na drugi dzień a przynajmniéj

w tydzień zostać wdową?"... przelękła się téj myśli — „po ślubie muszę być wesołą i mówić wszystkim że jestem szczęśliwą.... szczęśliwą!!... odpowiadać na tysiące zapytań.... znosić żarty, przymówki, dla niego... nie dla *niego!*.... a potém".... Aniela zadrżała, zakryła chustką oczy i zaczęła płakać — potém.... potém!!!!! ach! Boże! ja nienawidzę Bonawenturę.... potém pojechać z nim w nieznane strony"... Aniela załamała ręce; to *potém* najwięcéj ją przeraziło —„przyjmować jego pieszczoty, słuchać jego nieskończonych opowiadań o sobie, całować jego".... Aniela znowu się wzdrygnęła — „całować tego, którego nie kocham, którego nie cierpię.... zależeć od woli Bonawentury... stosować się do jego życzeń, kaprysów, zwyczajów.... ukrywać przed nim wszystko... wszystko... prócz.... — *prócz* ją przeraziło — „czuwać nad sobą nawet we śnie żeby

nie wpaść w podejrzenie.... a wzbudziwszy w nim zazdrość, nieufność siedzieć zamkniętą w domu.... tylko z nim jednym!.... wyrzec się wszystkich rozrywek, przyjemności.... bo Bonawentura żeni się nie ze mną ale z moim posagiem.... znosić jego brutalstwo, trzpiotostwo, nierozsądek, może złość... żyć z nim od rana do wieczora.... i od wieczora do rana!...... widzieć go, słyszeć co chwila.... człowieka z którym dusza moja zgodzić się nie może.... żyć z nim dzień.... miesiąc!... rok!!... wieczność!!!... zostać matką.... matką!.... matką dzieci Bonawentury!!!....... o! ludzie! czy wy nigdy nie byliście młodymi?!....... Krzyknęła i padła na trawę zemdlona.

Nie bój się, czytelniku, zaraz ją otrzeźwią.

Służąca, która często widziała płaczącą Anielę i sama gorzkie łzy wylewała, kochając swoją panię, śledziła

zdaleka a ujrzawszy ją prawie bez życia, śpiesznie przyniosła dzbanek z wodą i przyprowadziła do zmysłów biedną Anielę.

Aniela była w stanie zginąć na stosie, jak Dziewica orleańska ale konać w długich męczących płomieniach, konać całe życie, zamiast na stosie, na łonie pana Bonawentury; to przechodziło jéj siły.

Bez wahania się więc postanowiła teraz odrzucić prośbę pana Farfadowskiego i oprzeć się z wytrwałością wszelkim naleganiom, nawet groźbom.

Z najwyższego szczebla *panieńskiéj rozpaczy*, spadła na niższy: postanowiła wstąpić do Klasztoru.

Gruba, czarna suknia; biały, skromny welon; spokojne życie w murach za kratą; blizkie towarzystwo z Bogiem; zbawienie o dwa kroki że go ledwo nawet ręką złapać nie można, wszystko

to, w pełnym wdzięku, stanęło w oczach Anieli. To się jéj podobało i klasnęła w dłonie z radości, że jéj tak doskonały pomysł przyszedł.

Już tedy Aniela została mniszką.

Gdyby pan Euzebjusz o tém wiedział, wdziałby także na siebie kaptur i starałby się zostać kapelanem przy tym klasztorze, gdzie ma być Aniela, żeby choć spójrzeć na nią czasem albo pomówić. Ale pan Euzebjusz był od dwóch miesięcy chorym i nic nie wiedział, co się dzieje z gwiazdą co tak świetnie zeszła na jego horyzoncie.

Aniela nie odkrywała przed nikim swego zamiaru. Rodzice jéj nie wspominali czy nie śmieli wspominać o małżeństwie, czekając zaczęcia od Farfadowskiego. Pani Prezesowa nie bez żalu pomyśleć mogła że jéj córka nie będzie Hrabiną Arnoldową Mężnicką i kochała jeszcze Arnolda którego nazywała nie-

boszczykiem zięciem. Nieośmieliła się mu nic nawet powiedzieć o zmianie, która zaszła, tylko zbywała go dodawaniem nadziei, któréj sama nie miała. Pan Mężnicki nie przestawał bywać w ich domu.

Pan Prezes od czasu kiedy go przekonała Panna Agata, że Aniela może umrzeć z żalu jeśli rodzice będą się sprzeciwiać jéj pobraniu się z Farfadowskim, stracił humor, chodził ciągle nadąsany, łajał wszystkich, bił Żydów, stukał mocno drzwiami i jednego dnia odważył się nawet potrącić nogą pieski Pani Prezesowéj.

Pułkownik był w doskonałym humorze, śpiewał, gwizdał, uśmiéchał się ile razy mówiono o Pannie Anieli i milczał.

Zbliżał się dzień urodzin Anieli. Pan Prezes, który od lat kilkunastu miał zwyczaj dawać kosztowne podarunki na wiązanie córce, pojechał na jarmark

dla przedania wódki i kupienia gościńca Anielce. Piękny krzyż brylantami wysadzany, miał być teraz wiązaniem Anielki. Biedny ojciec! jakby przeczuwał że Aniela *opuści ojca i matkę i weźmie krzyż na siebie...*

Skończywszy interessa jarmarkowe pan Prezes wrócił do domu a z nim wysiadł z powozu mężczyzna słusznego wzrostu, dużego nosa, z wysokiém czołem i około pięćdziesiąt lat mającу. Ubrany był we frak granatowy *nie najpierwszéj mody* a reszta jego stroju łączyła w sobie powagę wieku z elegancją młodzieńca. Poufale wszedł do salonu z Prezesem któren go przedstawił swojéj żonie.

Był to dawny kolega szkolny Prezesa, pan Krescenty Młoczanowski. Prezes spotkawszy się z nim na jarmarku, po kilkunastu latach niewidzenia, zaprosił go do siebie.

Panna Agata sądząc że to był jaki nowy kawaler do Anieli, narzuciwszy czémprędzéj mantylkę wleciała co tchu do salonu, siadła obok pana Młoczanowskiego. Ochłonęła, kiedy się dowiedziała że pan Krescenty ma żonę i dzieci.

Pan Młoczanowski był z rzędu tych ludzi których nazywają *przyjemnymi*. Jest to epitet na któren zasłużyć najłatwiéj: Potrzeba mieć białą, rumianą, i jakokołwiek dobrze uprzedzającą fizjonomję, miodową minkę; zawsze się uśmiechać a nigdy nie śmiać, trzymać się prosto ale przytém być gibkim, znać wszytkich z widzenia przynajmniéj ze słyszenia, bywać *w świecie* to znaczy nie opuścić ani jednych kontraktów, ani jednych wyborów, ani jednego jarmarku i grać w karty na złoto, czytać gazety zagraniczne, umieć genealogję wszystkich rodzin prowincji, pamiętać mnóstwo biografji, anekdot, sekretów familijnych,

wiedzieć o każdém nowém zdarzeniu, wmieszać się do każdéj rozmowy i pół godziny mówić rozsądnie ogólnikami a zakończyć jaką facecją, *aimablować* damom bez zadawania sobie pracy na wyszukiwanie allegorji do komplimentów, nie otwiérać szeroko ust, nie kichać głośno, nie ziewać nigdy, to się ma rozumieć, nie dawać nikomu mówić, nie sprzeczać się z kobiétami, extaziować się nad tém co one chwalą, piorunować na co powstają, podziwiać rozum dwóletnich a dowcip półrocznych dzieci, widzieć w nich przyszłych bohatérów lub genjalnych mężów wnosząc po apétycie i ochocie do talentów naprzykład: tańców, muzyki, śpiewów, wozić cukierki, koniki, znać się na strojach i tym podobne.

Otoż i pan Krescenty powszechnie był okrzyczanym za *bardzo przyjemnego* człowieka. U niektórych uchodził

nawet na *bardzo oczytanego* był w stanie ożywić każde towarzystwo.

W pół godziny po jego przybyciu weszła Aniela.

— Zapewne godna córka Pani Prezesowéj ? — zapytał Pan Młoczanowski.

— Godna córka — odezwała się roztrzepana Panna Agata.

— Tak jest — rzekła Prezesowa.

Pan Młoczanowski skłonił się i bacznie przypatrywał się Anieli.

Rozmowa toczyła się jak zwykle w takiéj okoliczności o dawnych czasach na co Pani Prezesowa mówiła : — „lepiéj to dawniéj bywało“ — o jarmarku , o sąsiedztwie ; potém pan Młoczanowski spójrzawszy na fortepian zapytał pół głosem :

— Zapewne Panienka musi ładnie grać i śpiewać ? —

Na co pan Prezes pół głosem odpowiedział : — grywa trochę. —

I Panna Aniela popisywała się.

Kilka dni pobytu pana Młoczanowskiego rozerwały trochę Prezesa i zaczął już lepiej jeść i ciszéj drzwi przymykać; ale po wyjeździe jego zły humor jeszcze się powiększył i wszyscy w domu chodzili na palcach. Smutny był Prezes, smutniejsza Prezesowa i najsmutniejsza Aniela; tylko Panna Agata najweselszą była ze wszystkich i pan Pułkownik szydersko patrzał to na pannę Agatę, to na Prezesa i na Prezesowę. Wszyscy zaś szukali samotności a jeśli się spotykali albo zebrali przy obiedzie nie chcieli sobie w oczy patrzeć. Fortepian milczał, książki pokryły się pyłem i kwiaty w wazonach powiędły. Ręka Anieli co niegdyś wszystko ożywiała i przyprowadzała do ruchu zacząwszy od klawiszów aż do piesków teraz była nieczynną. Czasem tylko ukradkiem ucierała łzy płynące z jéj

ciemnych poetycznych oczów.... Jednego dnia pani Prezesowa w myślach zatopiona, przez roztargnienie zamiast dziewięciu pacierzy co zwykła była odmawiać wieczorami, powtórzyła dziewięć razy na różańcu dyspozycję kołacji którą dała kucharzowi; a pan Prezes tak się zapomniał że trzy fajek jedną po drugiéj wypalił i zamiast do stajni zaszedł na oborę. Ekonom widząc Pana w złym humorze na zapytanie: — „cóż tam słychać"?— odpowiadał:— „Wszystko dobrze J. W. Panie" — ale pan Prezes odzywał się z gniewem: „gdzie tam dobrze wszystko złe"—Trudno Panu dogodzić.

Nadszedł nareszcie dzień urodzin Anieli; przypadał on we trzy miesiące po imieninach Prezesowéj. Rodzice w chwili kiedy składali jéj życzenia starali się być wesołymi ale potém wpadli w większy jéj smutek i niespokojność. Aniela oddawna postrzegała tę nad-

zwyczajną zmianę we wszystkich i w tym dniu zamiast cieszenia się że po raz dziewiętnasty oglądała jesień, była tak smutną, jak gdyby rocznica jej narodzenia była dla niéj dniem śmierci. Włożyła z rana na siebie białą sukienkę i przepasała ją czarną wstążką, ale spójrzawszy w lustro, czy jéj przykrym był widok żałoby i z właściwą wszystkim nieszczęśliwym otuchą, cierpienia życia myślała słabą nadzieją osłodzić, czy wybierając się do klasztoru, żegnając ten świat, pełen marności, zajętą była szczęściem wieczném — zbawieniem i tylko tam — za grobem spodziewała się znaleźć ulgę, zrobiła wieniec z zielonych liści cytryny i włożyła go na głowę, a przepaską uwitą z gałązek bukszpanu pokryła czarną wstążkę i okręciła suknię.

Białą szatę niewinności przepleciona wieńcem nadziei, nielitościwie ściskała czarna przepaska smutku.

Ach! jak to było pięknie!

Aniela była tak zachwycającą w tym stroju któren dziwnie odbijał przy jéj ciemnéj, czarnéj prawie twarzy; skromne ozdoby oryginalnością swoją harmonizujące z jéj niepospolitą duszą, dawały jéj oczom i całéj postawie tak dziki ale razem tak wzniosły i czarujący wyraz, że spójrzawszy jeszcze raz w lustro nie mogła oczu oderwać od niego i nigdy jéj tak żal nie było opuszczać świat ten bez kraty, jak teraz.

Do tego ciocia Agata którą kiedyś napadła była manja dewocji iż po ośmiomiesięcznéj rozwadze, dziewiątego wstąpiła na jakiś czas do klasztoru, opowiadała nieraz że tam potrzeba pracować, zamiatać cele, nosić wodę, wstawać o trzeciéj i kłucić się z przełożoną. Aniela więc zastanowiwszy się nad tém wszystkiém, przypatrzywszy się sobie w lu-

strze, zniszczyła zamiar włożenia mniszéj zasłony.

Niech będą dzięki Wszechmocnemu! Oranżerja i lustro ocaliły ją.

Postanowiła oddać los swój w ręce Boga z zupełném poddaniem się Jego woli. Spadła zatém i z drugiego szczebla rozpaczy ale powierzyła życie swoje w pewniejsze ręce jak dotąd. Padła na kolana przed krucyfixem co stał na jéj stole i zawołała ze łzami:

—„Boże mój! Boże mój! nie opuszczaj mię.“ Ale i kawalerowie jéj nie opuścili.

W kilka godzin przyjechał pan Bonawentura wystrojony, wyperfumowany i wszedł zacierając ręce jak ten co-to kontent z siebie. Aniela długo nie chciała mu się pokazywać i zamknęła się w swoim pokoju.

Wprędce po przybyciu pana Farfadowskiego zatoczył się przed ganek,

wiedeński kabrjołet ciągniony przez pięć gniadych koni w lipskich chomątach z maleńkiemi dzwoneczkami. Wysiadł z niego poważnie Hrabia Arnold Mężnicki oparty na ramieniu jasno-migdałowego lokaja pokrytego czterma tuzinami herbowych guzików na szyi, na rękach, na piersiach, na całém ciele.

Pan Mateusz Kapuściński zjechał się w bramie z Hrabią Arnoldem. Miał na sobie nowy frak i krótki hiszpański płaszczyk podszyty z brzegu kitajką, a w plecach perkalem. Złożył go zgrabnie suknem na wierzch mały chłopiec awansowany niedawno z kuchcika na kamerdinera i pokryty dwoma tuzinami guzików na których wyryte były cep i widły na krzyż położone.

Weszli razem do salonu i Pan Kapuściński, utarłszy nosa płócienną chustką, a wystawiwszy z kieszeni koniec fularowéj, wysunął się naprzód.

Aniela dowiedziawszy się o ich przyjeździe, jak podróżny będący w niebezpieczeństwie na burzliwém morzu, gdy mu zagrażają bałwany, klękła i głośno mówiła: *Kto się w opiekę odda Panu swemu.* Nareszcie chwiejącym się krokiem przywitała łaskawych gości którzy *nie zapomnieli* o niéj i nie zaniedbali *wyrecytować* powinszowania płynące prosto z ich serca.

Kilka osób z bliższego sąsiedztwa powiększyły towarzystwo.

Nie długo przybył Pan Wroczniewski a za nim Jacek Szumiłło.

Wszyscy chodzili jak na szpilkach. Pan Mateusz sapał i brakło mu powietrza do oddechu; Pan Bonawentura podniósł włosy na dwa piątra; Pan Mężnicki cierpiał nieznośny ból głowy i dłubał w zębach; Pan Szumiłło z przeklęstwami opowiadał Anieli jak mu wczoraj polowanie nie udało się;

Pan Euzebjusz blady, nędzny, zchorowany drżał jak liść. Prezes był pochmurny; Prezesowa ucinała rozmowę i rzucała oczami na wszystkie strony; Panna Agata biegała z kąta w kąt; Półkownik milczał i głaskał wąsy, a Aniela wyglądała jak owca między wilkami.

Niech cię Bóg zachowa, żebyś kiedy był w takiém towarzystwie, kochany czytelniku. To jak w szpitalu chorych w czasie zarazy.

Pan Kapuściński korzystając z oddalenia się Prezesa poszedł za nim, wziął go z uszanowaniem pod rękę i pocałowawszy dwa razy w ramie rzekł pokornym tonem.

„Nieporównane szczęście, które mię dzisiaj ma spotkać, gdy, ufnym będąc w obietnicy Jaśnie Wielmożnego Prezesa Dobrodzieja, z najgłębszém uszanowaniem przybyłem ucałować stopy

jego i wyrazić mu moją wdzięczność za opiekę i życzliwość, których, realnie mówiąc, nie jestem godzien ale coraz godniejszym stawać się tych nieoszacowanych względów, będzie nieustanną usilnością moją do saméj śmierci, tak wielką radością napełnia wszystkie żyły moje, że wierzyć się lękam iż przyszła ta pożądana dla mnie chwila, w któréj poszczycić się będę mógł, odtąd zostać zaliczonym do zacnéj familji szanownego Prezesa Dobrodzieja.“

— Bądź pewnym kochany Panie Mateuszu, rzekł Prezes, że masz we mnie prawdziwie życzliwego ci przyjaciela, ale i ja wierzyć się lękam ażeby przyszła ta pożądana dla mnie chwila w któréjbym mógł mieć przyjemność przyjęcia cię do mojéj familji.

Pan Kapuściński zrazu osłupiał, potém uśmiechnął się myśląc że Prezes żartuje, nakoniec zapytał:

— Kiedyż mię spotka to szczęście ?

— Nigdy.

— Jakto?! zawołał Pan Kapuściński, a twarz mu pociągnęła się od granic rudéj *szwelury* aż do ostrego nadbrzeża podbródka.

— Aniela odmówiła Panu.... Ja nie mogę sprzeciwiać się woli mojéj córki... przykro mi... niewymownie przykro, że danego ci słowa, ponimowolnie dotrzymać nie mogę.

— Ależ moje nadzieje.....

— I moje nadzieje w łeb wzięły, rzekł Prezes usiłując przybrać wesołą i imponującą razem, postawę, — ja szczérze pragnąłem mieć cię za zięcia kochany Panie Mateuszu.

— Panie Prezesie!

— Nie moja w tem wina.

— Jakże teraz będzie ?

— Nie wiem.

— Ja wiele straciłem.

— Cóż robić!

— Ja wyexpensowałem się.

— Wróciłbym ci koszta gdybym stał się przyczyną zawiedzenia twoich nadziei.

— Ja tego nie potrzebuję — zawołał w gniewie Pan Kapuściński którego honor był draśnięty; a był strasznie drażliwy, — ja tego nie potrzebuję; na cóż mi było robić nadzieje? — to nieuczciwie, niesumiennie, niehonorowie, ja miałem takie wydatki, ja od półtora roku staram się o Pannę Anielę.

— Zaraz ci wrócę za dwa funty cukierków, rzekł Prezes, — a o honorze mi nie gadaj bo będę przymuszonym z mego domu kazać cię wyprowadzić.

Bądź Pan zdrów — odpowiedział pogardliwie Pan Kapuściński i nie pożegnawszy się z nikim wyjechał, unosząc z sobą honor nieuszkodzony.

— Jedź do diabła, rzekł za nim Prezes.

Nie żałował go; bo Panna Agata pokazała autentyczne dowody że Pan Farfadowski był bogatszym od Kapuścińskiego.

Gdy się to działo, Pan Arnold Mężnicki zbliżywszy się do Prezesowéj, — spodziéwam się, rzekł, iż łaskawe względy, jakiemi Pani zawsze zaszczycać mię raczyłaś, ułatwiły mi drogę do serca Panny Anieli, któréj dziś, na wiązanie, uczucia moje i nieograniczoną miłość ze drżeniem w ofierze złożyć pragnę.

Pan Hrabia posiadał doskonale *le langage d'amour*.

Pani Prezesowa długo nic nie odpowiadała, a hrabia nachylony patrzał jéj w oczy czekając odpowiedzi.

— Gdybym ja była na miejscu mo-

jéj córki chętniebym przyjęła ofiarę Pana.

— A córka Pani?....

— Wola Anieli jest moją.

— Wola matki jest wolą dobréj córki.

— Ja mego dziecka przymuszać nie mogę.

— *Madame*! rzekł Pan Arnold.

— *Monsieur le comte.* — rzekła Prezesowa.

— *Vous m'avez donc promis*.....

— *Oui*, *Monsieur*.

— *Et bien*?

— *Et bien*.

— Ja tu nic nie rozumiem.

— A ja rozumiem. Przyrzekłam Panu że skłonię moją córkę do oddania mu ręki i najlepszym dowodem, że szczérze sprzyjałam Panu jest to, iż chciałam nawet ażeby dziś były zaręczyny, ale Pan Farfadowski, szczęśliwszy od

Pana, potrafił zyskać serce Anieli i Aniela wprędce zostanie jego narzeczoną.

— Czy tak ?

— Tak.

— Więc już wszystko skończone ?

— Skończone.

Potém z brutalską miną odwróciwszy się od Prezesowéj, Hrabia Arnold zbliżył się do Anieli i rzekł bardzo grzecznym tonem :

— *Je vous fais mon compliment ; vous allez épouser un farfadet? c'est beaucoup moins qu'un Comte, mais quelque chose, de plus idéal qu'un simple mortel.*

Skłonił się wszystkim niedbale i wyszedł. Pułkownik wpadał w coraz lepszy humor.

Pan Farfadowski, z swojéj strony, zapewniony przez Pannę Agatę że Aniela w dzień swoich urodzin przyrzecze mu wyjść za niego, nieposiadał się z ra-

dości: chodził, skakał, biegał, śpiéwał; chciał być *aimable* w całém znaczeniu tego wyrazu, żeby być tém pewniejszym serca Anieli; nie mógł tylko znaleźć zręczności pomówienia z Anielą, ponieważ była otoczoną towarzyszkami.

Pan Wroczniewski, matematycznie wyrachowawszy, że nie miał ani chwili do stracenia, wiedząc że familja Anieli chciała ją wydać za mąż, bądź co bądź; chociaż był w części przekonanym o jéj wzajemności od owéj szczęśliwéj odpowiedzi którą odebrał na balu, nie chciał w niepewności dłużéj zostawać bojąc się ażeby jakie intrygi nie popsuły szczęścia które mu się tak uśmiechało.

Pan Wroczniewski znał historję i czytał wiele; wiedział jakie to intrygi bywają na świecie.

Znalazłszy próżne miejsce obok Anieli uprzedził Pana Farfadowskiego

i z oczami już nie w górę podniesionemi, ale wlepionemi w ziemię, chciał mówić — nie mógł — głowa mu się kręciła, w uszach szumiało, oczy krwią zaszły, język zbuntował się, a usta groziły jakąś straszną rewolucją; bo nadzwyczajnie drżały i ruszały się.

Nareszcie postawiwszy na swojém miejscu głowę, przyprowadziwszy do posłuszeństwa język, uśmierzywszy usta, przemówił do Anieli, ale tak cicho, że ja nawet nie wiém co.

Na Anieli widać było zmieszanie; potém jeszcze dość długo szeptali z sobą, Pan Euzebjusz coraz ciszéj, Panna Aniela coraz głośniéj, nakoniec odezwała się na pół z gniewem:

— Zdaje mi się że ja niczem nie upoważniłam Pana do tego.

Pan Euzebjusz nic nie odpowiedział ale miał taką minę że gdybyś ty kiedy,

kochany czytelniku, tak wyglądał, tobyś się pewno pod ziemię schował.

I przestali mówić. Aniela wstała, Pan Wroczniewski został na miejscu jak przykuty.

Panna Agata wyszedłszy za Anielą, do przyległego pokoju pocałowała ją w czoło i rzekła poważnie:

— Moja duszo! dziś jest rocznica dnia tego w którym rodzice dali ci życie. Nie możesz im lepiéj odwdzięczyć się i wypłacić z tak świętego długu, jak spełniając ich wolę dla zapewnienia im w zgrzybiałym wieku, trwałéj spokojności i ustalenia ich szczęścia. Bóg w nieograniczoném miłosierdziu swojém, powołał cię do szczytnego obowiązku i dał ci zręczność iż możesz oddać kochanym rodzicóm twoim to co im winnaś. Wtém mrugnęła na Pana Farfadowskiego, któren w jednéj chwili już leżał u nóg Anieli.

Aniela zrazu straciła przytomność, ale przyszedłszy do siebie jakby natchniona, rzekła mocnym głosem:

Jeżeli Rodzice dali mi życie, z chęcią i bez wahania się, w każdéj chwili oddać im jestem gotowa. Umrzeć dla rodziców, gdyby to zapewniło ich szczęście, byłoby dla mnie najslodszą ofiarą, ale poświęcić dla nich młodość, swobodę, honor, uczucia, poświęcić własne szczęście, zaprzedać lekkomyślnie wszystko co jest dla nas najdroższem, wyrzeć się spokojności, zaprzeć się własnego zdania, myśli, wyobrażeń, pożegnać najświetniejsze nadzieje z tą niepewnością czy je znajdziemy za grobem, gdy rozpacz albo nienawiść zmiesza kroki najświętszéj nawet cnocie, rozstać się z przedmiotem co nas jeden do ziemi wiąże i napełnia duszę czystą niebiańską roskoszą, włożyć dla czczego blasku złoty łańcuch nieskończo-

nych cierpień i świętokradzką przysięgą skalać niewinne usta, nie! tego żaden dobry ojciec, żadna czuła matka od dziecka swego wymagać nie mogą, tego Bóg nawet nie żąda.

Panna Agata osłupiała. Pan Farfadowski stał przed Anielą i ciągle się kłaniał.

— Panie Bonawenturo! — rzekła daléj Aniela — ja Pana uszczęśliwić, ani z nim być szczęśliwą nie mogę. Polegam na szlachetności Pana i spodziéwam się że odtąd wszystkich środków dążących do zakłócenia mojéj spokojności zaniechasz. Za uczucia któremi mię Pan zaszczycać raczyłeś bardzo wdzięczną jestem, a z mojéj strony proszę przyjąć zapewnienie że zachowam dla niego zawsze prawdziwą przyjaźń i szacunek.

Panny zawsze tym cukierkiem traktują kawalerów w takich razach.

Pan Bonawentura nizko się ukłonił. Panna Agata zaczęła płakać; nie wiem: z rozczulenia czy ze złości.

— Cha cha cha! — krzyknął Pułkownik zataczając się od śmiechu usłyszawszy ostatnie słowa Anieli i spójrzawszy na Farfadowskiego. No Jacuniu! teraz na ciebie koléj, bo i ty podobno dzisiaj miałeś się oświadczyć Pannie Anieli.

Ale Pan Jacek, ciągniony przez Półkownika, nie śmiał iść daléj. Któż wygrał w téj loterji? zapytał cicho.

— Bilety, odpowiedział Pułkownik.

— A Panna Agata?

— Zbankrutowała.

— Mnie się zdaje, że jestem na teatrze — szepnął Pan Szumiłło.

— Jesteś na świecie, to tak dobrze jak na teatrze odrzekł Pan Pułkownik.

— Niech mię diabli wezmą, i sam diabeł nic podobnego nie wymyśliłby.

— Gdzie diabeł nie może tam posyła babę rzekł śmiejąc się Pułkownik.

W towarzystwie powstało zamieszanie. Było tam dosyć płaczu, a więcéj jeszcze śmiéchu. To zwykle tak bywa. Jedni rozjechali się, drudzy poszli fajkę palić, inni zostali na radę, która nieodbicie potrzebną była w takiéj okoliczności.

Pan Prezes i Pani Prezesowa usłyszawszy o odmówieniu Anieli Panu Farfadowskiemu o mało pomieszania umysłu nie dostali.

— Aguniu! wszak Anielka przyznała ci się że kocha Pana Bonawenturę?

Agunia, która nigdy jeszcze nie straciła *kontenansu*, teraz trzech słów zliczyć nie umiała.

— Czy ci mówiła Anielka że kocha Pana Farfadowskiego?

— Mówiła.

— Ja pożegnałem Pana Kapuścińskiego.

— Ja odmówiłam Panu Hrabiemu.

— Teraz nikt do nas nie zajrzy. Anielka osiądzie na koszu.

— Wyrodna dziewczyna!

— Bądźcie spokojni, ozwał się Pułkownik, ja was ręczę że Aniela nie wyszłaby za żadnego z tych ichmościów, a kawalerów będzie miała kto ma takiego buziaczka.

— I krocie odezwał się głos jakiś, to smaczny kąsek dla takich panów, jak Pan Mężnicki i Pan Kapuściński.

Co tam było daléj, *nie śmiałem pytać, a straszno zgadywać.* Mówiono....., ale złośliwość czego to nie wymyśli! mówiono, że Pan Prezes groził córce wydziedziczeniem, a Pani Prezesowa rózgami. Ktożby temu wierzył? W XIX wieku! Byłoby to barbarzyństwo niezgodne z teraźniejszą oświatą

i cywilizacją. Ach! te przeklęte języki!..... Dalej nawet powiedzieli że Pan Prezes córkę wycybuchował i wypchnął za drzwi, Pani Prezesowa podrapała i wypchnęła na podwórze, a Panna Agata dopędziła i oczy wydarła. Et! niema czém świat bawić się to plotki z nudów rozsiewa. To tylko pewne że na drugi dzień znaleźli pod stołem odłamaną pokrywkę od złotéj tabakierki i dwa pieski zaduszone.

Oddawna już zbierały się chmury, z których powstała ta burza. Pan Pułkownik z początku, z całą swoją prostodusznością wierzył, że jeden Jacek Szumiłło może się podobać Anieli bo najwyższy ze wszystkich i najgłośniéj gadał, a wiadomo że wiele osób mają tych za najrozumniejszych co umieją wszystkich zakrzyczeć. Im kto głośniejszy i więcej mówi tém uczeńszy i tém więcéj wygrywa w towarzystwie. Nie zo-

stawił więc bez nadziei swojego klienta. Wiedział że rodzice życzyli sobie mieć za zięciów tych, których Aniela nie kochała, wiedział że Panna Agata protegowała Farfadowskiego, a będąc prawie pewnym swoich domysłów, znając skryty charakter Anieli chciał jéj w dzień urodzin zrobić niespodziankę, skłonić wszystkich na stronę Pana Szumiłły, sprawić na prędce zaręczyny i uświetnić tę ceremonję jakąś wielką uroczystością; do czego nawet artylerzystów z sąsiedniéj wsi sprowadził. Postrzegłszy na owym familijnym kongressie różność zdań, widząc że wszyscy osóbno wydawali Anielę za mąż bez jéj wiedzy, tém szczérzéj zajął się jéj losem, i chciał przyczynić się do jéj szczęścia. Lecz poźniéj przekonawszy się o niewinnych podstępach cioci Aguni, odkrywwszy że Pan Prezes, licząc na swoją powagę w domu, przyrzekł Panu Ka-

puścińskiemu rękę Anieli nie pytając się oto żony, a Pani Prezesowa, nie wiele dbając o męża, umówiła się z Hrabią Mężnickim w tém może przekonaniu że zapewni swéj córce, szczęście, zobaczywszy nakoniec że Panna Agata zwycięża, a Aniela zdała się na kapitulację, postanowił tak prowadzić całą rzecz do końca żeby w jednym dniu pozbawić Anielę wszystkich *starających się kawalerów.* W jednéj poufałéj rozmowie, przed rocznicą urodzin Anieli, zbadał ją że Aniela nienawidzi Farfadowskiego, nie kocha Mężnickiego, nie cierpi Kapuścińskiego, nie lubi Szumiłły, nie wyszłaby za Wroczniewskiego. Tu dopiéro postrzegł swój błąd Pułkownik. Energicznie odmalował jéj Szumiłłę. Nic nie pomagało. Ani wzrost, ani szerokie plecy, ani organ mówienia, ani krésa na czole nie zachwyciły Anieli. Z tém wszystkiém dobry Pułkow-

nik nie miał potrzeby zaniechać swoich planów. Do ułożonéj przez niego komedji czy tragedji miała przybyć jeszcze jedna ofiara. Wszyscy się oszukali, Pułkownik plac otrzymał. Łzy radości Anieli były dla niego dziś gwiazdą brylantową.

Co powodowało Pannę Agatę do takiego opiekowania się Panem Farfadowskim, wtém prawdę dojść trudno. Różni różnie o tém głoszą. Jedni — że Panna Agata miała ku niemu szczególniejszą sympatję, z któréj nikt sam przed sobą, sprawy zdać nie może; drudzy — że przewidywała w tém szczęście Anieli, którą kochała *nad życie*; inni — że z początku myślała iż Aniela doprawdy była zajętą Panem Bonawenturą. Wszystko to być może, bo cóż tu jest niepodobnego? Ale najpewniéj że Pannę Agatę kierowało u-

czucie wyższe — wdzięczność za to, że była nawróconą.

Panna Agata była niegdyś bardzo bezbożną. Jak to nie jeden z XVIII wieku! Nie wierzyła w Boga, odrzucała pismo i proroków, śmiała się z wszystkich świętych i nigdy się nie spowiadała. To było w modzie. Ojciec Pana Farfadowskiego, gorliwy i przykładny exjezuita, chcąc zawrócić błędną owieczkę do owczarni pańskiéj i mieć jedną, dobrą notą więcéj, w zasługach swoich przed Bogiem, zaczął pracować nad nawróceniem Panny Agaty, wyrwał tę nieszczęśliwą duszę z rąk szatana i skłonił ją żeby poszła na jaki czas do klasztoru, dla odpokutowania za grzechy. Panna Agata, poznawszy błąd swój i przejrzawszy w wierze, czuła odtąd sukcessijną wdzięczność dla familji Farfadowskich.

Wprędce tém po zdarzeniu, Pan

Farfadowski skończył process i pojechał *objeżdzać folwarki*. Pan Jacek Szumiłło trzy dni pił z rozpaczy; Hrabia Mężnicki, także z rozpaczy porozdawał żydom wszystkie pierścienie, łańcuszki i powozy. Pan Kapuściński w tydzień ożenił się z bogatą popówną, a Pan Euzebjusz........ aż straszno wspomnieć!

Nie długo po owéj jurisprudenckiéj dyspucie, w któréj Panna Aniela przekonała go że mu nie dała plenipotencji do *pewnego* interessu, Pan Euzebjusz poszedł na szczyt najwyższéj skały, która wznosiła się nad przepaścią napełnioną wodą, napisał elegję wyrył ją na kamieniu i skoczył w głębinę, zostawiwszy Literaturę polską w żałobie po dzieciach zginionych przed pojawieniem się w świecie. Wszystkie dramata jego i sonety zginęły z nim razem!.....

Czemu to nie było ogłosić dru-

kiem ?!...... Myślicie że już koniec? — Nie jeszcze.

W osiém dni to jest w oktawę urodzin Anieli, exsolenizantka siedziała smutna, samotna, w kącie bawialnego pokoju. Co wtedy myślała, tylko te panny mogą wiedzieć, które miały mnóstwo starających się kawalerów, a potém raptem wszystkich niestało. Może i Aniela myślała o przebrzmiałéj sławie, o minionych dniach tryumfów kiedy komplimenta ze wszystkich stron leciały jak grad, a ona przyjmowała je z dumą na pół z wzgardą; może wzdychała do przeszłości i chciałaby ją zawrócić, ale już było pozno! Może żałowała swego postępku, a może....... może ja się mylę. Kto tam wié co panny w takich razach myślą?! — Żadna się nie przyzna.

Nie! — Aniela o tém nie myślała. Ona marzyła *o wielkim Bogu, o jasnych*

aniołach gdy wtém — otwierają się drzwi — wchodzi Pan Krescenty Młoczanowski, a z nim — jasny anioł.

„Ach to *on*! krzyknęła pomimowolnie Aniela.

Drżąca, blada, wita przybyłych. Pan Krescenty bierze jasnego anioła za rękę, i przedstawia go Anieli jako swego syna. Aniela niezgrabnie kłania się i zaczyna rozmowę podobno od pogody.

Pan Władysław Młoczanowski był miernego wzrostu około dwudziestu dwóch lat mający. Wysokie i szlachetne czoło jego przedziwnie oprawione było w długie, jasne włosy, które nie były podobne do złota, ale do kłosów dojrzałéj pszenicy. Oczy, były takiego koloru jak adamaszek, którym kanapa była obita, biały był ile skóra ludzka białą być może, nos miał à la

Jan Sobieski, usta w kształcie serca, słowem tak piękny, tak piękny, że gdyby jeszcze cokolwieczek był piękniejszym, byłby, jak dwie krople wody podobnym do Apollina Belvederskiego. Ubrany był jak żywcem z żurnalu wzięty.

Aniela widziała go w snach swoich, w swoich marzeniach. To był jéj wyśniony, wymarzony, fantastyczny kochanek; jéj ideał. To był *on*.

— Boże! czy on mię kochać będzie? pomyślała Aniela.

Tak prędko? — O! wyobraźnia zakochanych jeździ galopem.

Aniela nim go zupełnie poznała, już chciała żeby ją kochał. Przeczuwała tego, któren, był dla niéj przeznaczonym, przeczuwała że on jeden mógł harmonizować z jéj duszą.

Dwie główne sprężyny kierują na-

szemi uczuciami: sympatja i antipatja. Jeżeli posłuszni jesteśmy prawom tych niepojętych sił, nie błądzimy i dążymy do prawdziwego duchownego szczęścia; jeżeli zaś chcemy się wyłamać z ich karbów, a nie ulegamy ich wpływowi, nie narzekajmyż na nieszczęścia, które w różnych postaciach nas prześladują. Natura nie odstępując nigdy od wiecznych praw, któremi się rządzi, nie może nie wzruszyć wstrząśnieniami swemi, tych, którzy chcą jéj porządek przewrócić albo zmienić kierunek jéj biegu. Tylko dwie, prawdziwie sympatyzujące z sobą istoty, nie będą ze wzgardą wymawiać, to słowo: ziemia. Dla serc czułych i dusz wzniosłych ziemia dostarczy wiele źródeł skąd wypływa prawdziwa radość i prawdziwe szczęście. Przeciwności znikną z oczu jeśli ich owionie tchnienie wzajemnéj miłości. Z téj to harmonji wy-

pływa jedność i zgoda, ze zgody spokojność i wytrwałość, ze spokojności zeznanie stanowiska w społeczeństwie, a stąd uczucie wyższego powołania, działalność i wewnętrzne zadowolnienie. Ufność w Bogu i poddanie się Jego woli przed wszystkiém.

Wysokie to rozumowanie napisał jeden z przyjaciół Anieli w jéj album, gdy miała wychodzić za Farfadowskiego. Proszono mię ażeby tu umieścić.

Władysław i Aniela zaledwo kilka słów do siebie przemówili, już ich serca drżały i wzajemnie pociągały się jak dwa przeciwne bieguny magnesowych igieł, oczy ich pałały jaśniejszym ogniem jak próchno w ciemności. Władysław był zachwycony Anielą, Aniela Władysławem i pokochali się

E! cóż dziwnego że dwoje młodych ludzi co mieli ku sobie wzajemną skłonność pokochali się! To takie stare dzie-

je jak świat jeżeli nie starsze. Któż nie wié całego porządku i formalności miłośnego processu? Zapewne i ty wiesz, czytelniku, a jeżeliś już zapomniał, to ci pokrótce powtórzę.

Naprzód, *inspectio rei*. To jest przypatrzyć się dobrze oczom, czołu, ustom, całéj twarzy. Już też potrzeba opatrzyć osobę, którą się piérwszy raz widzi. Potém, zaczyna się rozmowa grzeczna, obojętna. Tę rozmowę umieją wszyscy jak: *Ojcze nasz*, a niektórzy jeszcze lepiéj. Za drugiém, trzeciém widzeniem można sobie pozwolić lekkich żarcików: podroczyć się, pobiegać. Za czwartém, raz westchnąć; za piątém dwa razy i spójrzeć czule na najdroższą istotę. Daléj, następują drżące ściśnienia ręki, rumieńce, mocne bicie serca, niedowierzanie, spuszczanie oczów, nakoniec z jednéj strony słowa: „sprzyjam Panu, — *je suis de vos*

amies" — a z drugiéj: „ja cię uwielbiam, ubóstwiam, kocham." i t. p. Następnie, przerywane słowa, których nigdy nie rozumie ani ten co mówi, ani ta co słucha i które rzadko kto powtórzy albo spisze bo sam nie pamięta. Nakoniec prędzéj lub poźniéj, młodzieniec, jak ten co szukał filozoficznego kamienia, zastanawiając się nad tém, jakimby sposobem mógł być szczęśliwym, albo raczéj jak Archimedes, z radością wykrzykuje: *znalazłem* i powiada kochance o swoim wynalazku. Kochanka zbywa go nie śmiało: „*je ne sais pas, — cela dépendra de mes parens*" lub czemś podobném.

Otóż stopniami, pomału, pomału, doszło do tego że i Aniela powiedziała Władysławowi: „*cela dépendra de mes parens.*"

I co najdziwniejsza, Państwo *parens* pomimo to że Władysław nie po-

chodził od Piasta i nie był Krezusem z chęcią zezwolili na połączenie dwojga kochanków, za staraniem Pułkownika i Pana Krescentego, z którym Pan Prezes był w ścisłéj przyjaźni.

Władysław nie był to ani Achilles grecki ani Dandy Paryzki: mniéj od Achillesa, więcéj od Dandego, ale duszą, sercem umysłowém ukształceniem odpowiadał Anieli bo *Bóg już dawno poślubił ich dusze.* Aniela była zupełnie szczęśliwą.

Kto o Bogu nie zapomina tego i Bóg nie opuści, kochany czytelniku!

Jeżelibyś chciał wiedzieć czy szczęśliwi są teraz? odpowiem ci że szczęśliwi, bo nie dawno się pobrali. Jak będzie daléj, nie wiém, ale nie zaniedbam ci donieść.

KONIEC.